NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 26 maja 1906 r. Nr. 21.

Spełnienie wyroku śmierci przez P. P. S.

(Treść na stronie 2).



Spełnienie wyroku śmierci przez P. P. S.

(Do illustracyi tytułowej).

Polska partya socyalistyczna w Warszawie — jak sama głosi — spełniła wyrok śmierci, wydany na najbardziej znienawidzonego komisarza policyi.

Konstantynow, podczas znanych wypadków we środę 1 listopada 1905 w południe, kazał strzelać kozakom do bezbronnych ludzi; na jego rozkaz zastrzelili na ul. Złotej dwie młode dziewczyny, stojące w bramie. Żołnierze wpadli do bramy i zabili je. Tłum rozwścieczony rzucił się na Konstantynowa, który wówczas był rewirowym i chciał go rozszarpać na kawałki. Zdjęto z niego szynel i zdarto mu szlify. Omal że lynchu nie dokonano. Konstantynow zaczął płakać i prosić, aby się nad nim zlitowano. Zjawił się oficer i zapewnił, że Konstantynow nie będzie więcej pełnił funkcyj policyjnych. Darowano mu życie i zaprowadzono go w pochodzie bez szlif do cyrkułu. Nie spełniły się jednak zapewnienia oficerskie i po zaprowadzeniu stanu wojennego, Konstantynow odznaczał się przesadną gorliwością w służbie policyjnej. Chodził z patrolami po mieście i używano go podczas przeprowadzania rewizyj. Awansowano go na zastępcę komisarza i pełnił funkcye w cyrkule przy ul. Kruczej. O ile mógł, dokuczał i zjednał sobie powszechną nienawiść, musiał chodzić w asyście patrolu lub jeździł dorożką. Wreszcie wydano na niego wyrok śmierci, który teraz spełniono.



Polka profesorem w paryskiej Sorbonnie: Sławna z odkrycia radium, uczona Curie-Skłodowska, która po śmierci męża otrzymała uniwersytecką katedrę fizyki.



Spełnienie wyroku śmierci przez P. P. S.: Na ulicy Marszałkowskiej w Warszawie, miejsce, w którem 14 b. m. wieczorem rzucono bombę na sztabskapitana Konstantynowa, fotografowane nazajutrz rano, w czasie uprzątania śladów katastrofy.

Przebieg strasznego wypadku, da się opowiedzieć w ten sposób. W poniedziałek ubiegły o siódmej wieczorem na Marszałkowskiej w pobliżu ul. Świętokrzyskiej, zjawił się pomocnik komisarza sztabs-kapitan Konstantynow w towarzystwie policyanta Stanisława Wiśniewskiego i 2 szeregowców 6 pułku piechoty. W czasie tym na Marszałkowskiej panuje wzmożony ruch, zwłaszcza w pobliżu ul. Świętokrzyskiej. Konstantynow, mężczyzna wysoki i otyły, rozglądał się wokoło, czyniąc przegląd ruchu kołowego i pieszego. Od czasu do czasu przy pomocy swej wojskowo-policyjnej eskorty przeglądał papiery osobiste niektórych przechodniów, stojąc na środku krzyżujących się ulic, tuż nad żelazną pokrywą kanałową. Parę minut po godzinie 7 na rogu ul. Złotej dało się widzieć jakieś zamieszanie. Konstantynow posłał tam jednego ze stójkowych, ażeby zbadał przyczynę zbiegowiska. W tejże chwili poskoczył do Konstantynowa jakiś młodzieniec o rysach wybitnie semickich, ubrany w pelerynę z kapturem, dobył z pod niej zawieszoną na piersiach bombę i rzucił ją pod nogi Konstantynowa, na żelazną pokrywę kanału. Nastąpił wybuch straszliwy, słup dymu wzniósł się w powietrze. Wyleciały setki szyb na dużej przestrzeni. Działanie bomby było straszne. Żelazna pokrywa kanałowa została wyrwana i pokruszona na drobne cząstki. Stojący zaś nad nią Konstantynow padł na miejscu. Lewa noga, którą widocznie stał oparty Konstantynow o żelazną kratę, została wyrwaną wyżej pachwiny, prawa noga zdruzgotana została poniżej kolana. Z poszarpanych szczątków ubrania zwisały porwane, zakrwawione wnętrzności. Twarz i górna część ciała, piersi, ręce, zostały nienaruszone. Zwłoki Konstantynowa zostały tak strasznie poszarpane, że było wiele trudności z zebraniem wszystkich szczątków, porozrzucanych na dużej przestrzeni: lewą nogę znaleziono w odległości 12 kroków pomiędzy szynami, palec tej nogi przerzucony został przez dom piętrowy nr. 133 i znaleziony na samym środku podwórza. Kość prawej nogi znaleziono w odległości 85 kroków na ul. Marszałkowskiej, kawałek ciała podjęto w odległości 65 kroków, drugi kawałek zawisł na balkonie 2 piętra. Ubranie na trupie było zupełnie zniszczone, czapka odrzucona na chodnik naprzeciw domu nr. 132, rewolwer odrzucony był na odległość 35 kroków. Jeszcze dalej od miejsca wybuchu znaleziono kawałek złotego łańcuszka od zegarka, portmonetkę zaś na ul. Świętokrzyskiej, kilka rozsypanych monet — w różnych miejscach ulicy. Stójkowy Wiśniewski otrzymał 16 ran na twarzy i nogach.

Tymczasem w pierwszej chwili zaraz po wybuchu w okolicy wypadku trwała przez długą chwilę strzelanina. Żołnierze strzelali do domniemanych wspólników przestępcy, padające gęsto kule raziły na bliższej i dalszej odległości przechodniów. Ogółem padły dwie osoby zabite na miejscu: niejaki Abt, któremu kula, czy wybuch, wyrwała całą dolną szczękę, Mystkowski, którego znaleziono z rozwaloną uderzeniem czaszką, tak, że mózg wydobył się na wierzch. Ranionych jest około 20 osób, w tej liczbie dorożkarz, Franciszek Jamiołkowski, który wiózł w chwili wybuchu dwie panie, ma opaloną całą lewą połowę ciała. Dorożka została częściowo zdruzgotana, koń raniony.

W innych ulicach odbywał się niemniej krwawy pościg za uciekającymi sprawcami, których, jak się zdaje, było dwóch i obaj podobno już nie żyją.

W kilka dni później skierowała się uwaga publiczności w stronę inną, a mianowicie Nowego Światu, którędy we czwartek o godzinie 1-szej przechodzić miał kondukt żałobny, odprowadzając zwłoki Konstantynowa na cmentarz Wolski. Już na godzinę przedtem zapowiadały to gęste straże policyi i wojska rozstawione na całej tej przestrzeni, gdzie nawet zatrzymano i ruch kołowy, na boczne ulice go kierując. Wreszcie przesunął się kondukt pogrzebowy tak, jak go wiernie



Spełnienie wyroku śmierci przez P. P. S.: Pogrzeb sztabskapitana Konstantynowa, ofiary bomby na Marszałkowskiej w Warszawie; kondukt pod silną strażą przechodzi koło pomnika Kopernika z Nowego Świata na Krakowskie w drodze na Wolę.

przedstawia załączona tu rycina podług amatorskiego zdjęcia fotograficznego wykonana.

W obawie jakichś zaburzeń, czy niepokojów, czy nowej bomby, opasano karawan z trumną podwójnym kordonem wojska, jakoteż policyi. Trumna zasłana była wieńcami od najwyższych figur



Po dniach niedoli więziennej: Funkcyonaryusz kolei Nadwiślańskiej, Jan Rudzki, aresztowany w Warszawie przed 5 miesiącami, a teraz wypuszczony z fortu Aleksieja.

rządowych, od oberpolicmajstra Mejera, któy na czele licznego pocztu urzędników policyi postępował za trumną wraz z gen.-gubernatorem wojennym Warszawy jen. Weissem.

Pogrzeb odbył się spokojnie aż na miejsce spoczynku na Wolskim cmentarzu, a tylko potem krążyły po Warszawie zmyślone pogłoski o rzekomem rzuceniu tam bomby.

Jednem z ech tej głośnej katastrofy stało się samobójstwo zamieszkałej przy ul. Marszałkowskiej nr. 33, niejakiej Maryi Dziakiewiczowej, która,



Ustąpi — nie ustąpi: Austro-węgierski ambasador Petersburgu, Alojzy br. Aehrenthal, domniemany następca Gołuchowskiego na stanowisku min. spraw zagranicznych. (Do artykułu na stronie 7).

pozostawała w stosunkach ściślejszych z kapitanem Konstantynowem i nie mogąc przenieść jego śmierci, nazajutrz wystrzałem z rewolweru pozbawiła się życia. Dziakiewiczowa zajmowała piękne mieszkanie z 4 pokojów, pozostawiła córkę i 6.000 rb. gotówki.

Polka profesorem w paryskiej Sorbonnie.

Bardzo ładny dowód uznania rzetelnych zasług w dziedzinie nauki złożyli świeżo profesorowie Sorbonny w Paryżu, jakoteż francuski minister oświaty p. Bricard. Oto wdowa po zmarłym niedawno w tragiczny sposób fizyku, pani Curie z domu Skłodowska, zamianowana została profesorem fizyki na miejsce męża. Pani Curie-Skłodowska, której podobiznę zamieszczamy obok, zatrzymuje więc laboratoryum i katedrę zmarłego, z którym wspólnie pracowała nad epokowemi odkryciami. I zaiste, nikt nie mógł być godniejszym następcą zmarłego uczonego i badacza, jak jego żona. Pani Curie zaznajomioną jest najdokładniej z metodą badania zmarłego męża i z rezultatami jego pracy. Wykształcenie naukowo zdobyła p. Curie w laboratoryum Becquerela, którego odkrycia z dziedziny ceranu stanowią podstawę badań nad radem. Tam weszła na drogę epokowych odkryć, nad któremi potem wspólnie z mężem pracowała z ogromnym zasobem inteligencyi i poświęcenia. Jako rozprawę doktorską przedłożyła pracę pt. „Radioaktywność uranu“. Poślubiwszy prof. Curie, wytrwale pracowała z mężem w małem laboratoryum na rue d'Homond; praca tej idealnej małżeńskiej pary uczonych nagrodzoną została epokowym wynalazkiem, o którym już poprzednio z okazyi śmierci prof. Curie pisaliśmy. Wynalazek ten pozyskał im sławę i znaczny zasiłek pieniężny na dalsze prowadzenie badań nad radem, państwo Curie otrzymali bowiem nagrodę Nobla.

Pani Curie, z urodzenia Polka, siostra żony znanego lekarza i właściciela sanatoryum w Zakopanem, dra Dłuskiego, aczkolwiek na obcej pracuje ziemi, nie przestała być i czuć się Polką. Umysł to niepospolity, w dziedzinie nauki dzisiaj jeden z potężnych filarów; pomimo rzeczywistej wielkości odznacza się p. Curie skromnością, jakiejby jej mógł niejeden z małych wielkich ludzi pozazdrościć. Nie goni za rozgłosem, nie odurza się dymem kadzideł, zamknięta w czterech ścianach swego laboratoryum, żyje jedynie nauką i dla nauki, nie dbając o względy świata, bo ożywia ją idea iście Prometejska, idea, jaką jeno dusze wielkie mogą pieścić w łonie, idea pracy nad postępem, pracy dla dobra i pożytku ludzkości całej.

P. Skłodowska jest drugą kobietą-profesorem na uniwersytecie w Europie, profesorem zwyczajnym, pracującym samodzielnie w swej dziedzinie naukowej. Pierwszą była pani Kowalewska, która do roku 1891, to jest do śmierci swojej, wykładała matematykę na uniwersytecie w Stockholmie. Pani Curie wykładać będzie w Sorbonnie fizykę. Możemy być zaiste dumni z tego, że pierwsze kobiety profesorki uniwersytetu były właśnie Polkami.

Powołanie p. Curie-Skłodowskiej na ważną katedrę fizyki jest nie tylko aktem sprawiedliwości; będzie ono przedstawiało nadzwyczajną wartość dla paryskiego uniwersytetu i całej nauki. Sławny fizyk Berthelot w świeżo ogłoszonym liście otwartym wyraził profesorom Sorbonny i ministrowi oświaty słowa gorącej podzięki i uznania za tę nominacyę. a cały świat powitał z radością wiadomość o słusznem nagrodzeniu genialnej, pełnej poświęcenia Polki.



Po dniach niedoli więziennej: Funkcyonaryusz kolei Nadwiślańskiej, Aleksander Eustachy Jankowski, uwięziony przed 5 miesiącami w Warszawie, a teraz uwolniony z fortu Aleksieja.

Po dniach niedoli więziennej.

Miesiąc kwiecień otworzył ciężkie wrota więzienne wielu urzędnikom i funkcyonaryuszom kolei Nadwiślańskich, poszlakowanym lub oskarżonym o udział w wywołaniu lub przygotowaniu pamiętnego 3-tygodniowego strejku kolejowego w Królestwie Polskiem.

Nieprzekonanych sądownie, w braku dowodów, ze śledztwa wypuszczono ich na wolność po trzech i czterech miesięcznem więzieniu.

Do wielu z takich należą:

Jan Rudzki, starszy rewizor wagonów na stacyi Mława, aresztowany w dniu 5 tym stycznia, osadzony naprzód w więzieniu ratusza, potem we fortach Aleksieja.

Pędzili ich tam dnia 11 stycznia w partyi, liczącej 150 ludzi, żołnierze z pułku litewskiego, którzy mieli niemiłosiernie obchodzić się przez całą drogę z więźniami...

Aleksander Eustachy Jankowski, starszy głównych warstatów stacyi Warszawa-Brzeska, aresztowany został w drugi dzień Bożego Narodzenia, odsiadywał również w ratuszu i fortach Aleksieja, skąd wypuszczony został na wolność w dniu 7 kwietnia b. r.



Ustąpi — nie ustąpi: Pałac ambasady austryacko-węgierskiej w Petersburgu, obecnie siedziba posła br. Aehrenthala, domniemanego następcy ministra hr. Gołuchowskiego. (Do artykułu na stronie 7).

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

9 Ciąg dalszy.

Zdziwiony Kosiara poznał w pięknej, lubo zawoalowanej pannie w dorożce, córkę księcia Czerskiego, o której wiedział jeszcze tej nocy, że jest bardzo chora. Poznał też pokojówkę księżniczki.

Strzeliła mu nagle do głowy myśl dzika.

Schwycił pannę służącą za rękę w chwili, gdy ta już do cyrkułu zmierzać miała.

— To nie tutaj, panienko...

Zauważyła to księżniczka i poruszywszy się na siedzeniu w dorożce, zawołała:

— Czego on chce, Broniu?

Wtedy Kosiara sam się nachylił do panny Laury szepcząc możliwie jak najciszej a wyraźnie.

— Jaśnie pani chce ocalić matkę tego dziecka... Mnie po to samo posłał książę pan... Byłem tu już w tym cyrkule. Dałem łapówkę i wiem gdzie ona się w tej chwili znajduje... Tylko mówić głośno nie mogę. Ja tam zawiozę sam...

Zanim księżniczka zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, już Kosiara siedział na koźle obok dorożkarza, któremu nieznacznie wsunął w rękę pół rubla i kazał z miejsca zawrócić.

Pojechali szybko w stronę Mokotowa. Gdy mijali plac okrągły u wylotu Nowowiejskiej, obrócił się Kosiara z kozła do księżniczki, mówiąc głośno.

— Musimy się śpieszyć, żeby nie było za późno... Ale to już nie daleko...

I popędzili dalej Marszałkowską pod rogatkę, gdzie naraz skręciła dorózka na Bagatelę, minęła Belweder i zjeżdżała powoli z góry na drogę do Wilanowa.

Nie daleko za rogatką Kosiara wstrzymał dryndziarza, coś mu szepcąc. Potem dał znak kobietom, żeby wysiadły. Przez ten czas Kosiara zapłacił pośpiesznie woźnicy, a ledwie Bronia zdążyła pomódz wysiąść widocznie bardzo osłabionej księżniczce, już dorożkarz zakręcił znienacka, z bicza trzasnął hałaśliwie i popędził z powrotem w górę ku miastu,

Obie kobiety patrzały na to zalęknione, jakgdyby już zupełnie tracąc zaufanie do swego przewodnika, ale ten nie dał im przyjść do słowa, mówiąc tajemniczo:

— Jeszcze minutkę cierpliwości.

Szli parę kroków przed siebie, Kosiara krokiem pośpiesznym, a za nim powolej z widocznym wysiłkiem panna Laura, prowadzona troskliwie przez Bronię.

Tu właśnie mieściło się przy szosie za wysokiemi parkanami kilka podmiejskich ogródków z nocnemi restauracyami, do których dorożkami na gumach zajeżdżali z miasta, już po kolacyi, lowelasi warszawscy na rozpustne rozrywki, przy muzyce, szampanie i czarnej kawie z likierami. Od północy do świtu pijackie wrzaski rozlegały się tu w letnie noce po ogrodzie z zamkniętych altanek.

O tej porze gdy Kosiara z dwiema kobietami dochodził do Sielc, nie wystawały tam już dorożki, opustoszały już bowiem widocznie nocne spelunki.

Dochodzili właśnie do jednej z nich, zwanej Japonją. Cisza i pustka panowała w tej chwili wszędzie. Przed bramą „Japonii“ stał tylko samochód, z którego i palacz musiał zapewne zejść przed chwilą, żeby przy bufecie skrócić sobie chwile czekania na swoich panów, bawiących się jeszcze w ogrodzie w jednym z kiosków wschodnich.

Kosiara przystanął, jednym rzutem oka obejrzał automobil i sprawdziwszy nieobecność palacza w pobliżu bramy przymkniętej, skorzystał z chwili zupełnej pustki na drodze.

Sam wskoczył na samochód, naglac obie kobiety, nie pojmujące co zaszło, do zajęcia siedzeń w głębi powozu, a ledwie obie zdecydowały się wsiąść, już ruszył z miejsca, że zanim oprzytomniały, już ujechały kawał drogi. Kosiara widocznie dobrze obznajomiony z prowadzeniem maszyny, pędził jak zawodowy palacz prosto przed siebie aleją lipową do Wilanowa

Teraz niepokój i przerażenie ogarnęły obie kobiety, które przestały ufać swemu przewodnikowi i zastanawiając się, zaczęły pojmować. że chyba nie jadą szukać Marylki Reman.

Księżniczka oszołomiona piekielną jazdą, omdlewała na safianowych poduszkach ogromnego powozu, Bronka zaś krzyczeć zaczęła, żądając głośno wyjaśnień od Kosiary.

Wtem samochód nagle skręcił w bok na węższą drogę biegnącą od szosy ku wsi. Na zakręcie właśnie Kosiara obrócił się nagle i gwałtownym ruchem wytrącił z powozu Bronkę, która w rów padając, musiała roztrzaskać sobie głowę o kupę kamieni.

— — — — — — — — — — — —

Samochód pędził bez przerwy.

Dokąd jechali — księżniczka Laura nie wiedziała, nie oryentując się na szosie coraz dalej za miastem. Zrozumiała tylko jedno: została porwana przez Kosiarę. Czuła, że serce w niej zamiera, a z oczu jej nie schodził błyskawiczny obraz wyrzucenia z powozu nieszczęśliwej Bronki...

Ile razy automobil mijał gdzie w drodze grupę ludzi, domy jakie, lub wozy, wydawało jej się, że powinna krzyczeć, pomocy wzywać; ale sił jej do tego brakło i milczała z rezygnacyą, zwłaszcza, że straszny człowiek, który ją uwoził. przejmował ją trwogą rozpaczliwą. Życie jej było na jego łasce. Domyślała się, że Kosiara nie miałby celu pozbyć się jej w tak tragiczny sposób, jak usunął sobie z drogi zawadzającą mu Bronkę; a jednak tak okropnie bała go się, że postanowiła ulegać mu, nie opierać się i dlatego pozwalała się uwozić, bez myśli o tem, dokąd i po co, a jedynie tej nadziei nie tracąc, iż ojciec jej bądź co bądź znajdzie środki i sposoby ocalenia jedynaczki z rąk potwora.

Samochód nie przystanął jeszcze ani na chwilę, mimo, że byli już dawno daleko poza Warszawą.

Kosiara nie odezwał się do niej ani razu, spokojny o to, że księżniczka niema sposobu nawet próbować ucieczki: wszakżeż z automobilu w biegu nie wyskoczy...

Niekiedy tylko obejrzał się ku niej na jedno mgnienie oka, a wówczas z uśmiechem szyderczym na twarzy, mruczał sam do siebie:

— Tak, książę Czerski... Teraz, to ja mam cię w swoich rękach... zapłacisz mi słono... Na wagę złota przyjdzie ci wykupić z rąk moich jedyne dziecko swoje...

Dzieciobójczyni.

Marylka Reman przebywała istne katusze, oczekując swego losu w cyrkule, gdzie zamknięto ją zaraz po aresztowaniu nad Wisłą, w ciasnej, dusznej i mrocznej salce, pospołu ze złodziejkami i ulicznicami, które tam spędzono po nocnej obławie.

Z nikim nie chciała się wdawać w rozmowę, mimo, że ją zaczepiały różne kobiety, jedne szyderstwem, inne nawet dobrem słowem. Milczała zawzięcie, siedząc na twardej ławie w kącie zapełnionej izby.

Pocieszała się myślą, że i ją wkrótce stamtąd wyprowadzą, skoro co chwila kogoś wywoływano. Niektóre z kobiet, wezwane do przesłuchania, odprowadzała straż z powrotem jeszcze raz do cyrkułowego aresztu. Większość zaś z uwięzionych odchodziła stąd na wezwanie policyanta dyżurnego i już nie powracała. Tymczasem Marylka zziębła, przemokła, głodna i wycieńczona doszczętnie, wyczekiwała godzinami swojej kolei napróżno, mimo, że już nowe aresztantki zapełniały coraz bardziej izbę.

Było już dobrze po południu, kiedy ją stamtąd zabrano do śledztwa. Tymczasem przesłuchiwał ją już kto inny, aniżeli o świcie, gdy ją z Powiśla przyprowadził do cyrkułu brodaty stójkowy.

Za stołem papierami zasypanym pisał coś długo jakiś łysy urzędnik, co chwila pytając ją o coś, zwłaszcza przeszłość jej badając. Odpowiedzi Marylki bywały po większej części krótkie i wymijające. Na wiele pytań nawet nie chciała dać wyjaśnień...

Urzędnik zrazu traktował ją bardzo z góry i ostro, mówił do niej „wy“; wkrótce jednak ton zmienił, po paru odpowiedziach złagodniał zupełnie, a na koniec stał się nawet grzecznym.

— Więc niechże mi pani powie, co tam pani miała do roboty przed świtem nad brzegiem rzeki.

-- Dziecko mi zamordowano... więc z rozpaczy szukałam śmierci w Wiśle.

— Dziecko... panine dziecko... no tak, nie żyje, to prawda... Ale pani powiada: zamordowano... Otóż jakto zamordowano.

— Tak jest... powtarzam raz jeszcze...

— Słyszałem, proszę pani, ale kto... jak... dlaczego... co komu zawiniło panine dziecko?

Nieszczęśliwa kobieta milczała. Urzędnik przeglądał przez chwilę papiery, głową kiwając, poczem się odezwał, topiąc badawcze spojrzenie w jej twarzy:

— Pani tu poczyniła pewne zeznania dziś rano... policya starała się stwierdzić to wszystko, ale te nieprawdopodobne historye okazują się niezbyt prawdziwe... prawie wszystko się nie zgadza z tem, co tu pani podała do protokółu... Możeby mi pani była łaskawa tak już spokojniej teraz, nie tak bałamutnie, jak rano, opowiedzieć wszystko szczegółowo. Nie potrzebuje się pani obawiać niczego, wszystko należy zeznać, jak prawda, to zawsze najlepiej. No, proszę się zdecydować, słucham...

Minęła chwila milczenia, poczem Marylka nie mogąc ustać, siadła na najbliższe krzesło i opowiadała powoli całą historyę ubiegłej nocy.

Urzędnik słuchał, nie przerywał, tylko chwilami to ramionami ruszał, to znów głową potrząsał. Wreszcie, gdy skończyła, powiedział:

— Więc naprzód co do doktora Anielskiego... To byłaby ważna osoba... Cóż, kiedy nie żyje, jak na złość umarł właśnie tej nocy... Teraz co do księcia Czerskiego... to nie ma go w Warszawie, wyjechał on i wyjechała z nim córka, czyli już trzy osoby, o których pani mówi, a z których ani jednej niema, żeby się można z niemi porozumieć w tej sprawie dziwnej... Ale skoro pani dziś rano wskazała w cyrkule dom księcia Czerskiego, to policya zaraz tam się udała po informacye...

Tu przerwał i badawczo wpatrywał się w Marylę, a kiedy ta oczu nie spuszczała, będąc zupełnie spokojną, tylko widocznie bardzo osłabioną, mówił dalej:

— Otóż książę Czerski oświadczył najwyraźniej komisarzowi policyi, że ani pani nie zna, ani nigdy o pani nie słyszał, ani o jej dziecku nic nie wie, zaprzeczył dalej, jakoby pani była tej nocy w jego pałacu w Alejach Ujazdowskich. I co więcej, zapewnia książę, iż bezwarunkowo w jego domu nie znajdowało się ani wczoraj, ani tej nocy niczyje dziecko... I cóż pani na to?

Głowa Marylki Reman opadła bezwładnie na piersi; ręce załamała biedna rozpaczliwie:

— A zatem pan zupełnie nie wierzy moim zeznaniom — jęknęła po chwili.

Urzędnik ruszył ramionami:

— Proszę pani... jeden świadek, którego nam pani podaje, nie żyje, drugi nie zna pani wcale, nawet o pani nie słyszał... A tymczasem dziecko ma wyraźne rany i to proszę pani, w takich miejscach, jak pulsy, żyły naruszone... Lekarz urzędowy stwierdził, że dziecko zmarło z upływu krwi...

Matka z jękiem ukryła twarz w dłoni, a pła[illegible] gwałtowny wstrząsał jej piersi. Wreszc[illegible] nęła boleśnie:

— Dziecko moje... gdzie ono jest... panie, muszę je zobaczyć!

Uderzony tem urzędnik, brwi ściągnął i topił w niej wzrok swój śledczy, poczem zaczął cedzić powoli przez zęby:

— Dziś jeszcze zobaczy pani swoje dziecko... Może właśnie widok tej niewinnej istotki będzie mógł skłonić panią do wyznania prawdy.

A po chwili dodał innym tonem:

— Więc pani upiera się przy tych zeznaniach, jakie dotychczas poczyniłaś... Niema pani nic do zmienienia, może mam co zapisać inaczej, czas jeszcze odmienić... Może się pani namyśliła tymczasem...

Nagle widocznie myśl jakaś nowa tknęła Marylkę, bo zerwała się z miejsca i do stołu przysunąwszy się, zawołała:

— Panie, ja matką jestem tego dziecka, muszę je zobaczyć natychmiast... Boże! wy będziecie robili sekcyę, każecie ciąć to ciałko, bez pytania mnie o to... mnie — matki!

Mówiła to gwałtownie, pośpiesznie, rękami gestykulując rozpaczliwie, że się aż sędzia cofnął, lecz zaraz zaczął ją uspokajać:

— Nikt nie myśli nic złego zrobić paninemu dziecku.

Ale biedna matka nie ufała już nikomu w tej chwili i nie dała się ukoić w wybuchach boleści, wobec czego sędzia kazał ją odprowadzić do celi. Teraz znalazła się Marylka zupełnie samotna i w czterech ścianach swojego więzienia mogła dać folgę łzom.

Jeszcze raz przed wieczorem wzywał ją sędzia śledczy dla skonfrontowania z trupem własnego jej dziecka.

Nawet zimnych serc mężczyźni byli do głębi wzruszeni widokiem żywiołowego wybuchu bezmiernej boleści nieszczęśliwej młodej matki przed zwłokami swego ukochanego jedynaka, tyle szczerej prawdy biło od jej serdecznego cierpienia.

I znowu powróciła do samotnej celi, gdzie odtąd beznadziejnie upływały jej długie godziny, długie dni i noce bez zmiany.

Aż wreszcie w jedno południe otwarły się drzwi celi w jej więzieniu, a na ich progu stanął człowiek, na którego widok Marylka Reman omal nie omdlała z przestrachu.

Lecz kiedy ten zbliżył się do niej, obie ręce wyciągnął na powitanie i mówić do niej zaczął, tyle naraz blasku nadziei wdarło się do zrozpaczonego serca nieszczęsnej kobiety, że oszalała z radości, do rąk mu się rzuciła i całować je chciała, lecz gość nie pozwolił na to.

W tajemniczej jaskini.

Baron Goldenthal musiał od paru dni leżeć w łóżku. Szyję miał obwiązaną, oddychał z trudem, nic nie mówił, a nie bez bolu mógł jedynie płynne pokarmy przełykać. Po wizycie bowiem nocnej w mieszkaniu doktora Anielskiego, zostały na szyi barona bolesne ranki po ostrych widocznie pazurach owego upiora, który go tam napadł, jak gospodarz mieszkania rzuca się na ukrytego złodzieja...

Nie dziw tedy, że pan baron znajdował się w usposobieniu wcale nie łaskawem. A całą złość swoją, jak na kozła ofiarnego, zwalał na młodego człowieka, który stał przed jego łóżkiem. Był to brat biednej Marylki Reman, Ludwik, z którym mieliśmy sposobność zawrzeć przelotną znajomość niedawno w Łodzi, gdy na niego przed kantorem Goldenthala wyczekiwała z ważnym interesem Halka Modrzewska.

Baron znał swój wielki wpływ jaki miał na młodego Remana. A ponieważ w ostatnim czasie nieco mniej zaczynał ufać młodemu człowiekowi aniżeli dawniej, uznał za stosowne i pożądane używać wszelkich sposobów, żeby jak najsilniejszymi łańcuchy przykuć do siebie Ludwika.

Nad tem właśnie rozmyślał chory w łóżku przez chwilę. Teraz podał młodzieńcowi dziennik i kazał mu czytać sobie na głos rubrykę wydarzeń miejskich. Reman był zmuszony odczytać długi ustęp o aresztowaniu jego siostry Maryli, z mnóstwem morałów patetycznie nastrojonego reportera, na temat zwyrodnienia kobiety, która morduje własne dziecko, a potem usiłuje rzucić się z mostu w nurty Wisły.

Goldenthal bacznie obserwował, jakie wrażenie sprawia na czytającym wiadomość tak straszna, a dotycząca własnej siostry. Gdy ten skończył czytać, baron z uczuciem tryumfu odebrał mu gazetę i zatrzymał przy sobie:

— Ja się postaram ocalić pańską siostrę, panie Reman, ponieważ sam wiem, że ona jest niewinną — wyrzekł z trudem ledwie zrozumiale, ale taka obojętność zimna przebijała się w tem, jakgdyby to nie szło o śmierć jego rodzonego dziecka, jakgdyby notatka dziennikarska tak okropnej treści nie dotyczyła matki jego syna.

W pierwszej chwili zaczynało się w Ludwiku budzić jakby uczucie nienawiści i pogardy dla tego nędznika, którego Halka Modrzewska wskazała mu jako nikczemnego uwodziciela jego siostry; ale za chwilę już zjawiła się wątpliwość, czy też Modrzewska prawdę mówiła, lub z rozmysłem podała mu wiadomość kłamliwą, mając w tem ukryte własne cele uboczne.

Dość, że kiedy baron oświadczył gotowość ocalenia Marylki, uczuł się Ludwik niemal wzruszony.

Za chwilę później Baron Goldenthal kazał się Remanowi zbliżyć, ponieważ nie chciał męczyć się głośnem mówieniem, a miał mu podać pewne ważne wskazówki.

— Z chwilą gdy tylko zrobi mi się lepiej, a sądzę, że na to nie trzeba już długo czekać, pojedziesz pan ze mną, panie Ludwiku, na Inflanty do Rożniewa... Rozumiesz pan... Zaręczyłem się z hrabianką Wandą Rożniewską i za tydzień chcę przystąpić do ślubu... Słyszałeś pan, że pojedziesz ze mną do Rożniewa, mam do pana zupełne zaufanie i spodziewam się, że mnie nie zawiedziesz.

Baron niecierpliwił się w łóżku, paliła go bowiem chęć zrealizowania jak najprędzej najważniejszego zamiaru. Nie mógł się doczekać, kiedy wyzdrowieje zupełnie, tylko postanowił jechać niezwłocznie.

W podróży na Inflanty, jak było w projekcie, towarzyszył mu Ludwik Reman. Daleka droga trwała stosunkowo niezbyt długo, jechali bowiem kuryerem. Baron spał przez cały czas, a Ludwik był tak rozdrażniony, że większą część podróży przebył na oszklonym korytarzu długiego wagonu Pulmanowskiego, paląc papierosa po papierosie.

Z początku obojętnie spoglądał przez okno na wydmy piasków mazowieckich, po Tłuszcz i dalej po Małkinię, widne po obu bokach plantu kolei petersburskiej. Ale kiedy później pędził pociąg przez lasy litewskie, młody Reman z ogromnem zajęciem studyował ciągle okolicę nieznaną, patrząc jednak na nią, doznawał ciągle wrażenia, jakgdyby droga ta i ziemia ta nie były mu obce. Zwłaszcza oczyma pożerał widoki Grodna i Wilna i żałował, że nie jedzie tamtędy jakimś powolnym pociągiem, z którego okien mógłby wszystko lepiej dojrzeć, niźli z z tego wiatrem lecącego kuryera...

Dopiero gdzieś za Dźwińskiem wysiedli na jakiejś małej stacyjce i znaleźli się wśród cichych, dzikich wsi łotewskich, na krańcach gubernii witebskiej.

Od kolei daleko jeszcze było do Rożniewa, to też blisko trzy godziny wiózł ich na miejsce powóz w dobre konie zaprzężony. Goldenthal drzemał i w powozie, a Ludwika dziwnie smętnie uspasabiały obrazy inflanckie roztaczające się po bokach drogi. Na tego młodzieńca spędzającego najpiękniejsze chwile swojej młodości prawie bez przerwy przy biurku kantoru handlowego zadymionej Łodzi o tysiącu kominów — oddziaływał teraz przedziwnie ten melancholijny kraj białych nocy i wielkich jezior, ze swą przyrodą dziką, tak daleko na północy.. Ale ile razy wzrok oderwał od obrazu lasów bezkreśnych i spojrzał na wydęte wargi drzemiącego leniwie bogacza łódzkiego, zaraz myśli jego biegły do Warszawy, a przed oczyma duszy stawała postać jego biednej siostry Maryli.



..Na zakręcie właśnie Kosiara obrócił się nagle i gwałtownym ruchem wytrącił z powozu Bronkę, która w rów padając, musiała roztrzaskać sobie głowę o kupę kamieni.

Minął powóz właśnie ostatnie przed Rożniewem jezioro szeroko rozlane między pagórkami; przejechał obok przedziwnie smętnego cmentarzyka rosyjskich „starowierów“, stanowiącego równiutki, niskim murem obwiedziony czworobok, zagajony białymi brzozami płaczącemi, a oddzielony rzeczułką w parowie od malowniczo rozrzuconej na pagórkach wioski Łotyszów; poczem zaraz wjechali w długą a majestatyczną, szeroką aleję lip stuletnich, na końcu której bieliły się już wyraźnie mury odnowionego zamku staroświeckiego, gniazda rodu Rożniewskich na Inflantach polskich.

Teraz już baron Goldenthal otrząsnął się z drzemki i patrzał z powozu przed siebie z pewnym tryumfem na własne dzieło.

— Nie masz pan pojęcia, panie Ludwiku, jak zniszczony był już ten stary pałac... Zobaczysz pan za chwilę, jak to ja wspaniale kazałem go odrestaurować... Tylko pan sobie nie wyobrażaj, że baron Goldenthal tak handlowo-przemysłowo, po łódzku, traktuje tego rodzaju zabytki odwieczne... Można być Goldenthalem, a rozumieć, że takich zamków na Inflantach nie przerabia się przy odnawianiu jak dochodową kamienicę w Warszawie. No, nie śmiej się pan, niech mi tu jaki artysta przyjedzie, nawet podróż mu mogę zafundować, a każdy przyzna, że żaden hrabia utracyusz z familii Rożniewskich, nie byłby z takiem uszanowaniem przeprowadził tej restauracyi. Pan zresztą wiesz, ile mnie to kosztowało, ale za to powierzyłem to pierwszym specyalistom... Popatrz pan na tę basztę, tę po lewej ręce... bo takie są cztery... Uważasz pan, jak to się tam świeci na górze... A to, proszę pana, był czarny placek przedtem, za Rożniewskich. Bo pan nie wiesz, co to jest. Otóż w tej baszcie mieszkał zawsze na górze, w takiej ascetycznej celi samotnej, rozumie pan, jakby więzień na wieży, stary kapelan zamkowy. I nad jego oknem, prawie na szczycie baszty, wmurowany jest starożytny obraz na mosiężnej blasze, pochodzącej z jakiegoś meczetu tureckiego, czy coś podobnego, dość, że to husarze Sobieskiego, jako łup wojenny przywieźli do Warszawy; nie wiem zresztą, czy to do Warszawy było, ale w każdym razie wisi w sali portretowej tego zamku obraz, przedstawiający jednego z przodków naszego hrabiego Rożniewskiego, który to miał przywieźć z wyprawy tureckiej... Więc ta blacha w murze na baszcie dawno zczerniała, że wreszcie nikt nie wiedział, co to jest. Święty obraz i tyle... Ja to, proszę pana, kazałem odrestaurować ogromnym kosztem i okazało się, że to, mój panie, jest nawet poważne dzieło sztuki i na takiej pamiątkowej blasze w dodatku... Mianowicie jest wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej... Przypatrz się pan tylko, jak to błyszczy się olśniewająco, oślepiająco po prostu.

Kiedy baron opowiadał to wszystko młodemu Remanowi, powóz zbliżał się do wrót dziedzińca zamkowego.

Za chwilę zatoczył się przed podjazd pałacowy, gdzie już we drzwiach zjawili się lokaje. Przybycie bowiem barona Goldenthala do Rożniewa było z góry zapowiedziane depeszami z Warszawy i z drogi z Wilna.

Właśnie miał Goldenthal wysiadać, gdy z przedsionka wyszedł powoli naprzeciw niego hrabia Zygmunt Rożniewski sam bez córki, której daremnie wypatrywał tam baron, widocznie nie dość obznajomiony z tego rodzaju zwyczajami. Ale zaraz i tem się jeszcze zdziwił, gdy w twarzy gościnnego gospodarza nie dostrzegł nic więcej nad konwencyonalną grzeczność powitania.

Hrabia i tak był tego dnia w bardzo złym humorze, a przyjemna mina, jaką zrobił Goldenthal na wstępie, nie mogła go wprawić w lepsze usposobienie.

Może w tej chwili właśnie przyszło na myśl Rożniewskiemu, na widok łódzkiego bankiera i fabrykanta — za jak smutną cenę odzyskali Rożniewscy swoje gniazdo rodzinne...

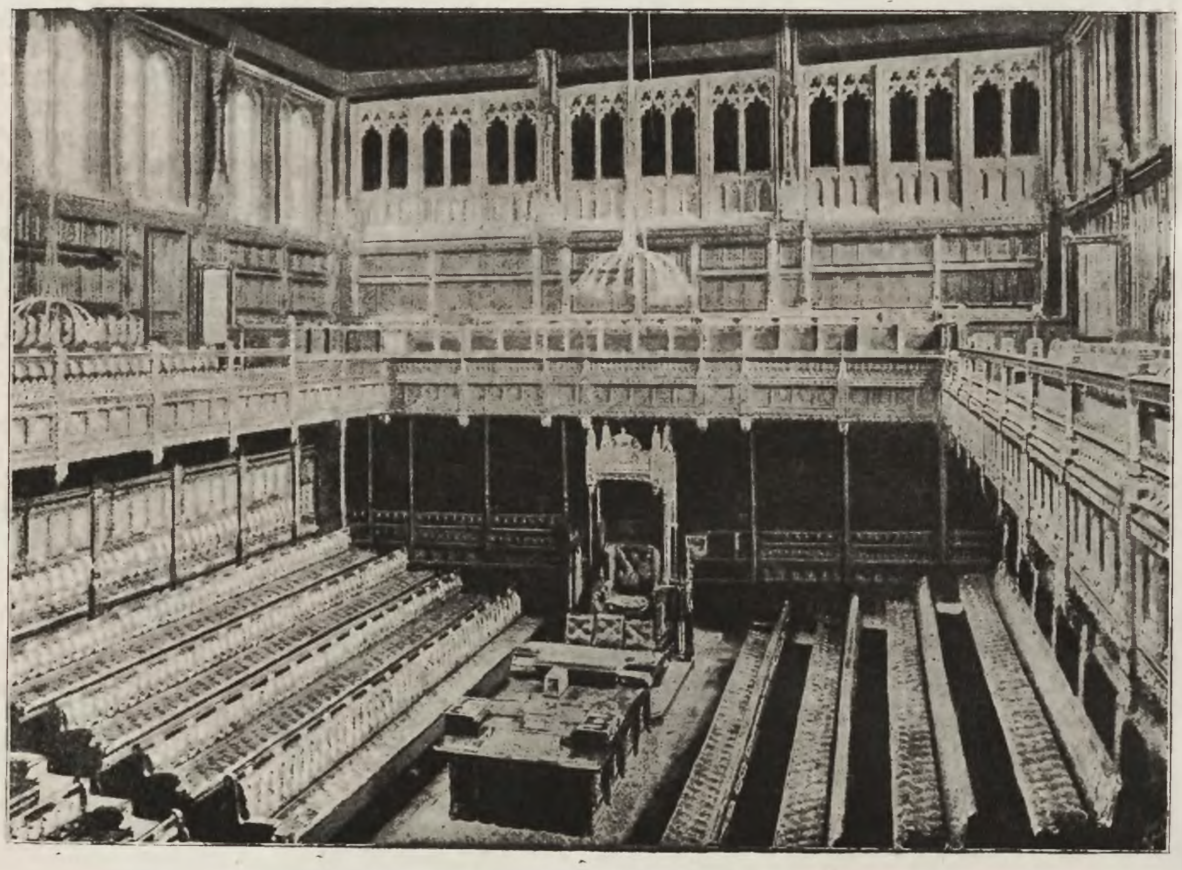
Mimo znużenia podróżą, postanowił Goldenthal zaraz po przyjeździe obejrzeć całe urządzenie wewnętrzne pałacu po niedawnem ukończeniu robót restauracyjnych. Hrabia oprowadzając go wszędzie, nie tracił wyrazu dumy, który twarz jego przybrała od chwili, gdy baron wszedł do jego domu. Dziwiło to Goldenthala, który nie mógł tego nie zauważyć, ale daremnie starał się odgadnąć przyczyny, skłaniające Rożniewskiego do takiego zachowania się względem gościa.

Kilkakrotnie dopytywał się baron o zdrowie swojej narzeczonej, ale za każdym razem hrabia zręcznie wyminął pytanie i Goldenthal nie doczekał się odpowiedzi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jak wygląda w parlamentach.

Z chwilą gdy powstał w oczach naszych nowy parlament w postaci Dumy rosyjskiej, czytelnicy gazet zainteresowali się w ogóle parlamentaryzmem. Przypominają sobie dla porównania, jaki ustrój panuje w przedstawicielstwie ludu w innych mocarstwach, jak wyglądają gmachy, w których obradują ciała prawodawcze. Dajemy przeto dzisiaj Czytelnikom naszym w szeregu illustracyj podobizny dokładne wnętrza sal czterech największych starych parlamentów, obok najmłodszego w pałacu Taurydzkim.



Jak wygląda w parlamentach: Angielska Izba gmin w Londynie.

„Izba gmin“ w Londynie.

Izba Gmin angielska jest stosunkowo wązką salą i dość ciasną, posiada bowiem zaledwie 400 miejsc na 620 członków Izby. Wskutek tego w czasie tłumnych posiedzeń, znaczna liczba członków jest zmuszoną stać przy drzwiach, w sporej odległości od miejsca, gdzie odbywają się rozprawy; inni deputowani lokują się na stopniach pomiędzy ławkami, jeszcze inni wreszcie szukają miejsca na długich galeryach górnych, przeznaczonych dla publiczności. Na lądzie europejskim budują zwykle parlamentarne sale posiedzeń w kształcie półkoła, mówcy zaś przemawiają z trybuny, z której mogą się zwracać twarzą do wszystkich słuchaczy. W angielskiej Izbie gmin deputowani przemawiają z miejsc, które zajmują, sala zaś posiada kształt czworokąta. Pochodzi to stąd, że przy budowie sali przypuszczano, iż w Anglii zawsze funkcyonować będzie dwupartyjny system rządów, że zawsze będą tylko dwie partye, które zasiadają naprzeciwko siebie, jak gdyby z dwu stron stołu. Stronnictwo, które posiada większość w danej chwili, trzyma ster rządów, zajmuje miejsca po prawej stronie spakera, stronnictwo zaś mniejszości, — opozycya, — zasiada po lewej stronie. Ministrowie zajmują przednią ławę partyi rządzącej, a leaderzy, przywódcy opozycyi, siedzą naprzeciw nich, na przedniej ławie drugiej partyi. Gdy gabinet upadnie, stronnictwa zamieniają się na miejsca: ministrowie przechodzą na przednią ławę opozycyi, a leaderzy tej ostatniej zajmują miejsca ministrów.

„Izba deputowanych“ w Paryżu.

Francuzka Izba Deputowanych zasiada w pięknej, ale niezbyt obszernej sali, zbudowanej amfiteatralnie. Każdy deputowany ma swoje stałe miejsce, z zamykanym na zamek pulpitem. We francuzkiej Izbie niema dostatecznej ilości miejsc, jest ich bowiem tylko 476 na 495 członków Izby. Ale nie wywołuje to wielkich kłopotów w praktyce, bo Izba nigdy nie zasiada w komplecie. Według konstytucyi francuskiej, jeden deputowany przypada na 50 tysięcy mieszkańców. Francya, mająca, według ostatniego spisu 40,100.000 mieszkańców, winna posyłać do pałacu Burbonów 802 prawodawców, posyła zaś znacznie mniej, z powodu, że niektóre okręgi wyborcze liczą więcej niż 50 tysięcy mieszkańców, ale nie mają 100 tysięcy, które] dałyby im prawo wyboru 2 deputowanych. W każdym razie obecna sala posiedzeń jest wogóle ciasna, ze złą wentylacyą i niedostatecznem oświetleniem, jakkolwiek już lepsza od starej angielskiej.

„Reichstag“ w Berlinie.

Niemcy słusznie są dumni z gmachu swego parlamentu. Sala posiedzeń, wyłożona dębem, ma 21·65 metra długości, 29 szerokości i 13·15 metr. wysokości; jest dwa razy większa od sali posiedzeń w angielskiej Izbie Gmin, Parlament niemiecki liczy 397 deputowanych, z których każdy ma w sali swoje stałe miejsce i własny pulpit, z przybitym do niego biletem wizytowym właściciela, prócz tego jest 10 miejsc zapasowych. Na wysokości 6 schodów od podłogi wznosi się, pod ścianą wschodnią, trybuna prezydencka z 5 krzesłami; z obu stron jej, na tem samem wzniesieniu, ustawione stoły i krzesła dla ministrów, członków Rady Związkowej i wogóle dla osób urzędowych, które obowiązane są dawać wyjaśnienia w parlamencie. Przed trybuną prezydenta, nieco wyżej, znajduje się katedra, z której przemawiają mówcy, o ile nie mówią z zajmowanych miejsc. Tuż przed katedrą, urządzone jest miejsce dla stenografów, połączone schodami bezpośrednio z pokojem dla stenografów na dolnem piętrze. Wzdłuż trzech ścian ciągną się galerye, przyczem przy ścianie północnej znajduje się loża dworska, a przy południowej loża prasowa, z przylegającemi do niej pokojami dla prasy.

„Reichsrath“ w Wiedniu.

Wiedeń posiada również gmach, specyalnie zbudowany na parlament. Sala posiedzień, lśniąca kolumnami marmurowemi, pięknemi freskami i obfitością złoceń, jest dość obszerna na to, by każdy poseł mógł mieć własne miejsce i oddzielny pulpit. Miejsca do siedzenia, podzielone na 8 oddziałów, w kształcie klinów, tworzą półkole; podłoga, urządzona pochyło, pozwala wszystkim posłom widzieć prezydenta, oraz ministrów, siedzących z obu stron jego, na tem samem wzniesieniu, lecz nieco niżej; krzesła i pulpity ministrów są takie same jak poselskie, przed estradą prezydenta trybuna dla mówców. Dokoła ścian urządzone dwie galerye dla publiczności, a pośrodku galeryi dolnej lożę cesarską. Deputowanych w parlamencie austryackim jest 472 i tyleż miejsc dla nich. Każdy poseł ma takie miejsce, jakie uważa za najdogodniejsze dla siebie. Raz obrane miejsce poseł zachowuje dotąd, dopóki sobie życzy.

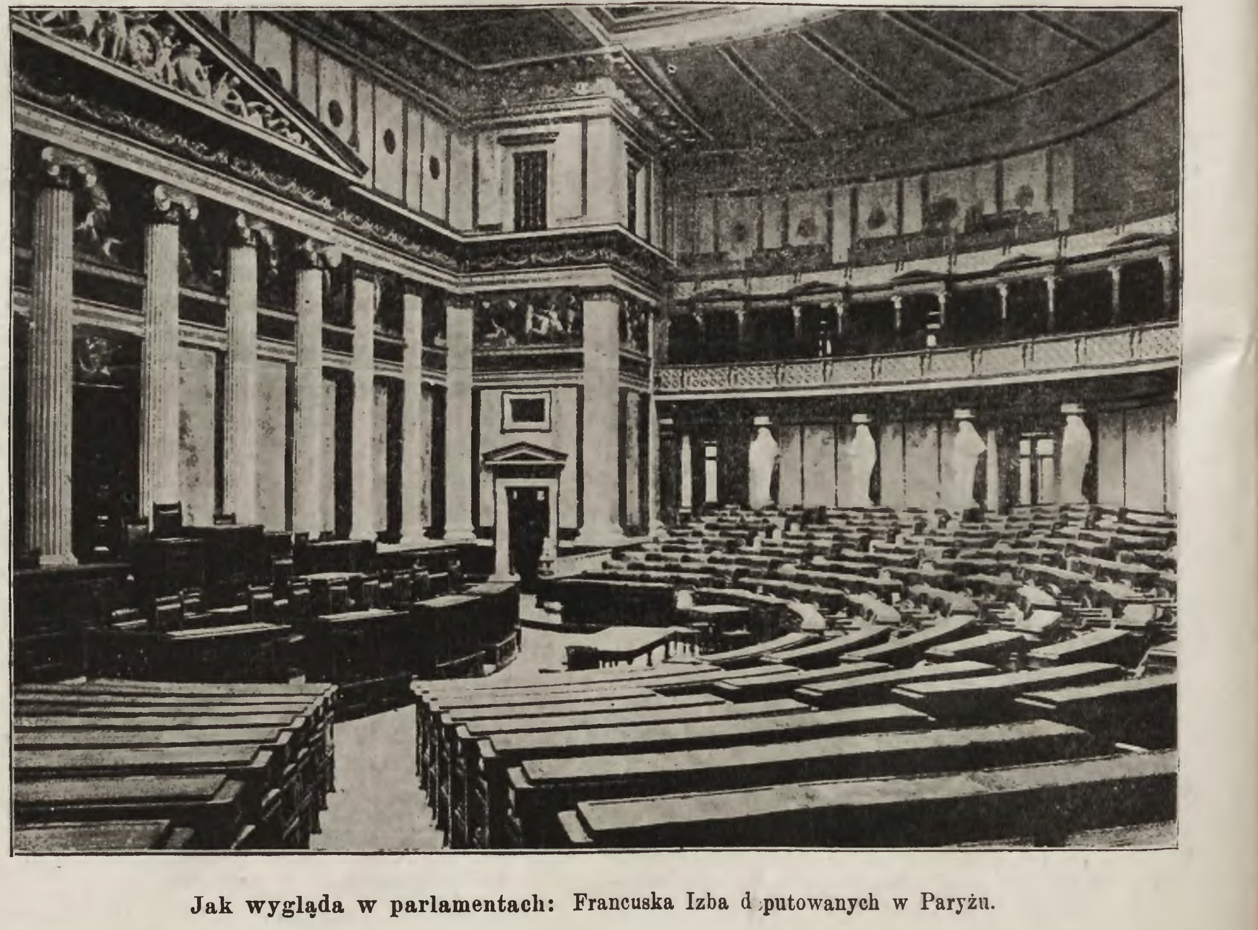
„Duma“ w Petersburgu.

Pałac Taurydzki położony jest dość daleko od centrum miasta, bo około 20 minut jazdy powozem. Wejście doń jest bardzo ładne. Wchodzi się naprzód do wielkiego westybulu, zmienionego na szatnię, skąd drzwi prowadzą do „sali biustów“ ozdobionej bardzo pięknemi freskami, potem do ogromnego tzw. „salonu konwersacyjnego. „Z jednej strony znajdują się dwa obszerne apartamenta, wychodzące na park, a przeznaczone na posiedzenia komisyjne Dumy, z drugiej wejście do sali obrad Dumy.

Sala ta, z której fotografię znajdą Czytelnicy dalej, jest bardzo znacznych rozmiarów. Ma 28 metrów szerokości, 32 metrów długości i 11 metrów wysokości. Pośrodku wznoszą się siedzenia prezydenta i dwu wiceprezydentów Dumy, z umieszczonym nad niemi ogromnym portretem cesarza Mikołaja II. Po obu stronach tych trybun rozłożono 12 miejsc dla ministrów, tak, że samo siedzenie prezydenta występuje nieco naprzód tej całej trybuny, ozdobionej gigantycznym orłem rosyjskim, rzeźbionym w drzewie.

U stóp trybuny prezydyalnej znajduje się stół stenografów, a na tej samej linii, co fotele ministrów, dwie loże dla prasy, każda po 17 miejsc; siedzenia posłów, w liczbie 560, są ułożone w amfiteatr. Są to fotele dębowe, pokryte ciemno-niebieską skórą, z siedzeniem i oparciem ruchomem, z pulpitem.

Ponad amfiteatrem, oświetlonym przez pięć świeczników elektrycznych, każdy po 300 lamp, znajduje się dziewięć lóż, z czego cztery są zarezerwowane dla dyplomatów, senatorów i członków Rady państwa, a pięć przeznaczono dla publiczności, która musi podawać o bilet prośbę do gra-



Jak wygląda w parlamentach: Francuska Izba deputowanych w Paryżu.

donaczelnika. Oprócz tego mieści pałac okazałą bibliotekę, wspaniale umeblowane apartamenty dla prezydenta Dumy i gabinety do pracy dla ministrów. Kancelaryę Dumy umieszczono w dawnych apartamentach Katarzyny II. Ponadto mieści się tam restauracya.

Ustąpi — nie ustąpi.

Od pewnego czasu mnożą się z dniem każdym pogłoski, rozsiewane przez prasę wiedeńską, budapeszteńską i berlińską, o blizkiem ustąpieniu hr. Gołuchowskiego, którego portret zamieszczamy obok.



Ustąpi — nie ustąpi: Austro-węgierski minister spraw zagranicznych i domu cesarskiego, Agenor hr. Gołuchowski, o którego bliskiem ustąpieniu krążą ciągle pogłoski.

Na razie trudno się zoryentować w tych pogłoskach. Niema bowiem widocznego powodu, któryby pozwalał przypuszczać, że hr. Gołuchowski utracił zaufanie sędziwego monarchy. Jedna tylko okoliczność zwraca przy tem wszystkiem uwagę.

Do osoby hr. Gołuchowskiego przyczepiła się poprostu legenda, że systematycznie obala każdego prezesa ministrów. A więc i Badeniego i Thuna i Körbera i ostatnio Gautscha miał obalić nikt inny, jeno hr. Gołuchowski. Za każdym razem, gdy jeden z tych premierów padł, zwolennicy jego trąbili na alarm i przez kilka tygodnie ustnie i w prasie prowadzili kampanię odwetową przeciwko hr. Gołuchowskiemu. Odwet ten zaś polegał stale na rozsiewaniu pogłosek o ustąpieniu tego ministra. I w tem może trzebaby i teraz szukać przyczyn i źródeł, skąd się wzięły te pogłoski, bo i obecnie o ustąpieniu hr. Gołuchowskiego krzyczą najbardziej te pisma, które stały po stronie Gautscha.



Jak wygląda w parlamentach: Niemiecki „Reichstag“ w Berlinie.

Jest jednak jeszcze inny powód, realniejszy, który może doprowadzić do zmian osobistych w rządzie wspólnym. Powód ten tkwi w przesileniu węgierskiem i w zwycięstwie idei narodowej na Węgrzech. Dotychczasowy wspólny minister skarbu, barpn Burian, który skrycie ale zaciekle przeszkadzał zwycięstwu narodowej koalicyi węgierskiej, chociaż sam jest Węgrem, po zwycięstwie koalicyi nie może prawie zostać na swojem stanowisku, ale prawdopodobnie ustąpi. Na razie opozycya węgierska niema odpowiednio wyrobionego kandydata na ten urząd, zgadza się więc na oddanie teki ministra wspólnego skarbu obywatelowi austryackiemu, w zamian jednak żądają dla siebie teki spraw zagranicznych, bo postawili sobie za zasadę, że w gronie ministrów wspólnych musi się znajdować jeden Węgier. Na miejsce barona Buriana nie mają nikogo, na miejsce hr. Gołuchowskiego mają kandydata i to poważnego. Jest nim ambasador berliński Szögeny-Marich, chociaż jako kandydatów wymieniają jeszcze ambasadora w Petersburgu hr. Arenthala, ambasadora w Londynie hr. Mensdorfa, nie pełniącego obecnie służby dyplomatycznej ks. Karola Kińsky'ego, a nawet margrabiego Palavicini, posła austro-węgierskiego w Bukareszcie. Wszystko to są jednak pogłoski, z których nic pewnego wysnuć się nie da.

Równocześnie z pogłoskami o ustąpieniu, rozeszły się wieści, że hr. Gołuchowski ma być zamianowany naczelnym ochmistrzem dworu. Byłby to jeden dowód więcej, że nie stracił on wcale a wcale łask monarszych. Ochmistrzowstwo naczelne nie zmniejsza w zupełności jego wpływów i nie ujmuje splendoru jego osobie. Wiadomo bowiem, że jest trzech w państwie habsburskiem dygnitarzy, którzy się codzienne stykają z monarchą i są wykonawcami jego najbardziej poufnych zleceń, a mianowicie: ochmistrz naczelny dworu, dyrektor kancelaryi gabinetowej i minister spraw zagranicznych. Tak więc wpływ hr. Gołuchowskiego i jego znaczenie nie straciłyby nic zupełnie.

Jedno się jeszcze nasuwa przypuszczenie, które pozwala na seryo traktować pogłoski o ustąpieniu hr. Gołuchowskiego. Dzisiejszy minister spraw zagranicznych jest już człowiekiem starym, sędziwym, być więc może, że sam pragnie opuścić tak ważne i tak odpowiedzialne stanowisko, które już od jedenastu lat piastuje. Ma on zresztą dosyć wrogów, choćby nawet tych, co czyhają na jego miejsce i oni to rozsiewają te pogłoski, które, bądź co bądź, w życiu politycznem Austryi mają olbrzymie znaczenie.

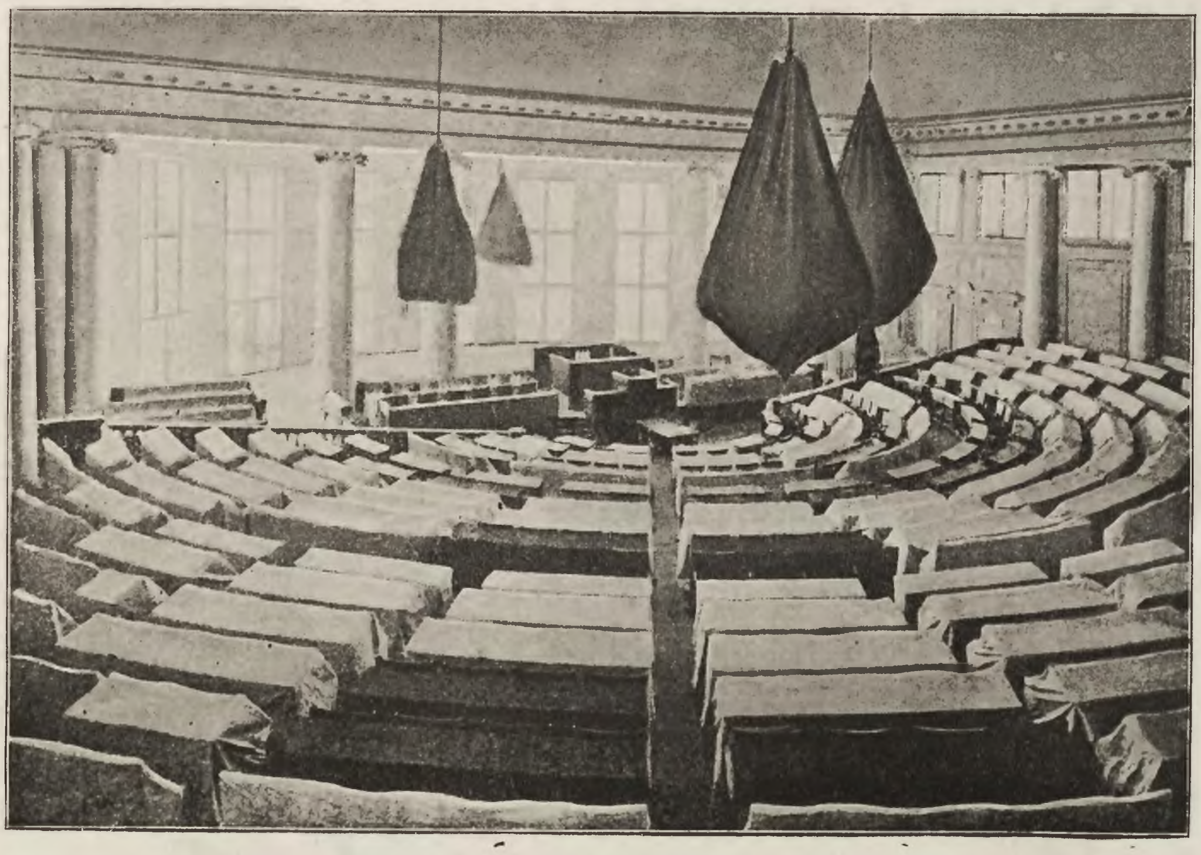


Jak wygląda w parlamentach: Austryacki „Reichsrath“ w Wiedniu.

Tajemnice murów pałacu Taurydzkiego.

Duma rosyjska, na którą dzisiaj cały świat ma oczy zwrócone, umieszczoną została, prawdopodobnie tymczasowo, w pałacu Taurydzkim w Petersburgu. Pałac ten ma swoją ciekawą historyę. Przed dwustu laty wzniósł ulubieniec cesarzowej Katarzyny II. książę Potemkin willę nad wybrzeżem Newy, w pobliżu wspaniałego klasztoru „Smolnego“ z przepięknym widokiem na rzekę. Cesarzowa, zwiedziwszy ten uroczy zakątek, tak się nim zachwyciła, że zamieniła willę w przepyszny pałac, rozszerzyła park pałacowy i roztoczyła wszędzie taki komfort, że goście, spraszani tam z całego świata, nie mogli się nadziwić panującemu tam na każdym kroku przepychowi. Ponieważ jednak księciu Potemkinowi zabrakło z czasem pieniędzy, wystawiono więc pałac na licytacyę. Cesarzowa nie chciała, aby taki uroczy zakątek dostał się w obce ręce, nabyła go więc sama i — pozostawiła księciu Potemkinowi w formie dożywotniego daru.

Od tego czasu pałac Taurydzki stał się przybytkiem najświetniejszych zabaw, urządzanych przez Potemkina, noszącego tytuł „księcia Tau



Jak wygląda w parlamentach: Rosyjska Duma państwowa w Petersburgu: wnętrze sali posiedzeń Izby poselskiej w pałacu Taurydzkim.

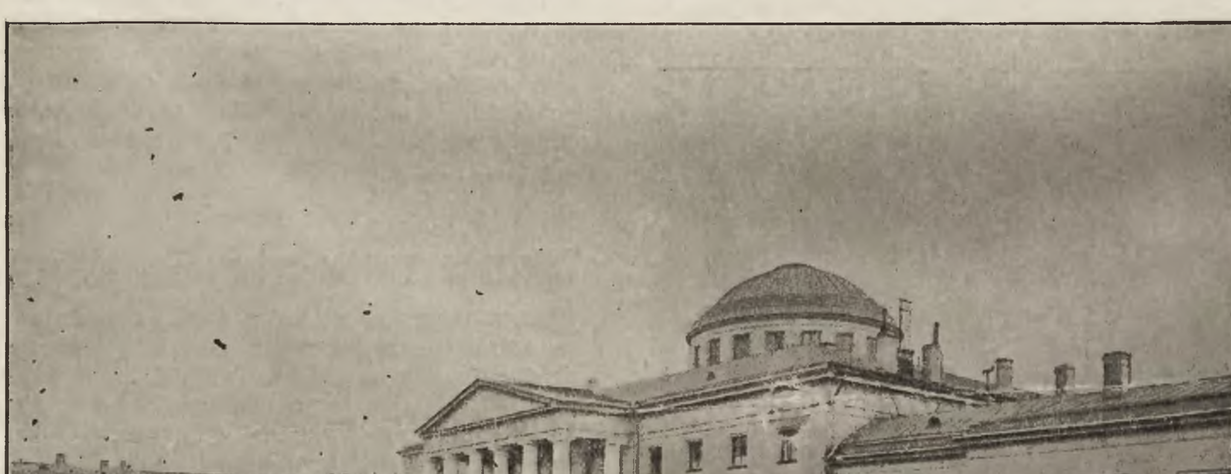
rydzkiego“. O zabawach tych krążą do dziś dnia legendy. Do najwspanialszych należała zabawa, urządzona z okazyi zajęcia Izmaiłowa, której opis dzisiaj musi olśnić każdego. W pałacu i parku pracowało przez kilka tygodni kilkanaście tysięcy robotników nad uświetnieniem zabawy. Samo oświetlenie kosztowało 70.000, sumę dzisiaj wielką, a na owe czasy co najmniej trzykroć większej wartości. Wszyscy którzy byli obecni na tej zabawie, przyznawali jednogłośnie, że czegoś podobnego świat nie widział. Zabawa odbywała się w zimie, pomimo to w całym parku urządzono ogród wspaniały, pełen egzotycznych drzew, kwitnących krzewów, uroczych grót, pełen wodotrysków, rozpryskujących dookoła różnowonne perfumy, podczas gdy ze sztucznych gniazd rozbrzmiewał śpiew słowików w krzakach bzu i jaśminu. Podobnej zabawy drugi raz już w pałacu Taurydzkim nie było.

Z latami powoli tracił nawet swój dawny przepych pałac Potemkina i podupadł wreszcie, zanim nie odnowiono go i przerobiono na gmach dla Dumy.

Przez lat dwieście zbierali się tutaj dla rozrywki przedstawiciele państwa rosyjskiego w tych samych komnatach, w których dzisiaj wybrańcy ludu debatują nad stworzeniem nowej, młodej Rosyi.



Tajemnice murów pałacu Taurydzkiego: Tylna fasada gmachu Dumy w Petersburgu, z oknami amfiteatralnej sali posiedzeń Izby poselskiej



Tajemnice murów pałacu Taurydzkiego: Widok frontowy starego pałacu Taurydzkiego w Petersburgu, zamienionego obecnie na gmach posiedzeń rosyjskiej Dumy państwowej.

Dyplomata po biurokracie.

Wśród licznych zmian, odbywających się teraz na naczelnych miejscach w Petersburgu, wybitnem zdarzeniem jest mianowanie Izwolskiego rosyjskim ministrem spraw zagranicznych w miejsce Lambsdorffa. Sprawiło do dobre wrażenie zagranicą dlatego, że w miejsce biurokraty przyszedł dyplomata; opinia więc europejska spodziewa się, że nastąpi zwrot w polityce zagranicznej Rosyi, która po śmierci Łobanowa systematycznie prowadzoną była ku katastrofie. Książę Łobanow zginął w podróży pomiędzy Wiedniem a Warszawą przed 11 laty, wracając z wizyty dworu petersburskiego u dworu austryackiego, zaraz po utwierdzeniu sojuszu rosyjsko-francuskiego. Wówczas do objęcia spadku po Łobanowie za młodym był jeszcze głośny jego uczeń, obecny minister Izwolski. Zwrócono się więc wtedy do hr. Murawiewa, a w tej właśnie decyzyi politycy zagraniczni upatrują źródło główne wszystkich klęsk Rosyi w polityce międzynarodowej. Kiedy Łobanow w swojej polityce starał się o utrzymanie status quo na Dalekim Wschodzie, Murawiew natomiast pod wpływem Niemiec, rzucił się na łeb na szyję w awanturę mandżurską. Rezultatów swych błędów już nie widział, zmarł bowiem nagle i tajemniczo w 1900 r. Następca Murawiewa, hr. Lambsdorff, typowy biurokrata, nie dyplomata, nie przeczuwał nawet, ku jakiej przepaści toczyła się Rosya, skutkiem błędów popełnianych w stosunkach z Dalekim Wschodem. Nie potrafił zapobiedz szaleństwom Aleksiejewa, po których nastąpiła druzgocząca kampania dyplomatyczna z Japonią, wreszcie wojna i pogrom.... Już nie dziełem Lambsdorffa był względnie korzystny pokój. Dziś on sam wreszcie odchodzi, ustępując miejsca upatrzonemu już przez Łobanowa na kierownika zagranicznej polityki Rosyi Izwolskiego. Nie dobrze w pamięci Polaków zapisał się Izwolski w czasach, gdy był ambasadorem rosyjskim przy Watykanie. Później zajmował posterunek dyplomatyczny w Japonii, wreszcie stał się zastępcą interesów monarchy rosyjskiego na małym dworze królewskim w Kopenhadze, na którym, jak wiadomo, uprawia się wielką politykę. Stąd przeniósł się do Petersburga teraz, aby ująć ster akcyi politycznej Rosyi poza jej granicami. Odpowiedzialność czeka go wielka.

Polak wiceministrem w Rosyi.

Według doniesień z Petersburga, nie ulega już wątpliwości kandydatura znanego polskiego bogacza Koziełło-Poklewskiego na stanowisko wiceministra spraw zagranicznych w Rosyi. Nominacya ta była żywo omawiana w sferach dyplomatycznych Koziełło-Poklewski, obecnie jeden z trzech Polaków zasiadających w rosyjskiej Radzie państwa, jako członkowie z wyboru (z Rotwandem i Glezmerem), cieszy się szczególną sympatyą króla Edwarda, popiera go więc poseł angielski w Petersburgu. Jest to jeden z najzamożniejszych przemysłowców polskich, a syn znakomitego i głośnego przemysłowca górniczego, którego przedsiębiorstwa

na Syberyi pozyskały światową sławę. I przyszły wiceminister mieszkał dotychczas stale na Syberyi, gdzie po ojcu prowadzi rozległe przedsiębiorstwa. Do Rady państwa powołali go wyborcy przemysłowi. Obecnie ma on stać się pomocnikiem ministra Izwolskiego na trudnem stanowisku kierownika polityki zagranicznej Rosyi.

Obrońca „nierosyjskich narodowości“.

Świetnym obrońcą „obcoplemieńców“ w Rosyi staje się w Dumie najwybitniejszy z polskich posłów, Aleksander Lednicki, głośny adwokat z Moskwy, wybrany z Mińska. Znakomity ten mowca osiągnął wielki sukces, wygłosiwszy na jednem z pierwszych posiedzeń Dumy mowę w imieniu — jak sam oświadczył — wszystkich nierosyjskich narodowości. Mówił o ekspedycyach karnych w ziemiach kresowych i stwierdził, że rosyjskie walki wolnościowe toczyły się także w obronie narodowości nierosyjskich. Apelował do narodu rosyjskiego, od którego inne narody, Rosyę zamieszkujące, wyczekują wyzwolenia. Tu dodać należy, iż



Polak wiceministrem w Rosyi: Jeden z najbogatszych przemysłowców polskich na Syberyi, członek z wyboru Rady państwa, Wincenty Koziełło-Poklewski, który ma zostać rosyjskim wiceministrem spraw zagranicznych.

niewybrani jeszcze posłowie Gruzini właśnie Lednickiemu polecili obronę swych interesów narodowych do chwili, gdy sami przybędą do Dumy.

Lednicki, który odegra w parlamencie rosyjskim niewątpliwie wybitną rolę, stanął na czele nowej frakcyi, jaka związała się świeżo w łonie Dumy pod nazwą „Związek autonomistów“. Podstawą polityczną tej organizacyi jest rezolucya, przez Lednickiego wniesiona i przyjęta na zebraniu obcoplemieńców, tej treści:

„Wszystkie narodowości, wchodzące w skład państwa rosyjskiego, mocno zainteresowane są, ażeby oczekiwany demokratyczny ustrój zagwarantował wszystkim i każdej narodowości oddzielnie zupełną swobodę i pełność rozwoju duchowego i materyalnego. Zebranie uznaje niemożliwość centralizacyi całego prawodawstwa i administracyi w państwie tak wielkiem, różnorodnem i skomplikowanem pod względem ekonomicznym i narodowościowym przy centralizacyi władzy państwowej. W formie autonomii widzi jedynie naturalne i sprawiedliwe rozwiązanie kwestyi w przyszłym ustroju państwowym Rosyi, ktore zagwarantuje całość i niepodzielność państwa“.



Obrońca „nierosyjskich narodowości“: Głośny adwokat z Moskwy, a nowy poseł miński, Aleksander Lednicki, najwybitniejszy z posłów polskich w Dumie, w której świetnie broni praw „obcoplemieńców“.

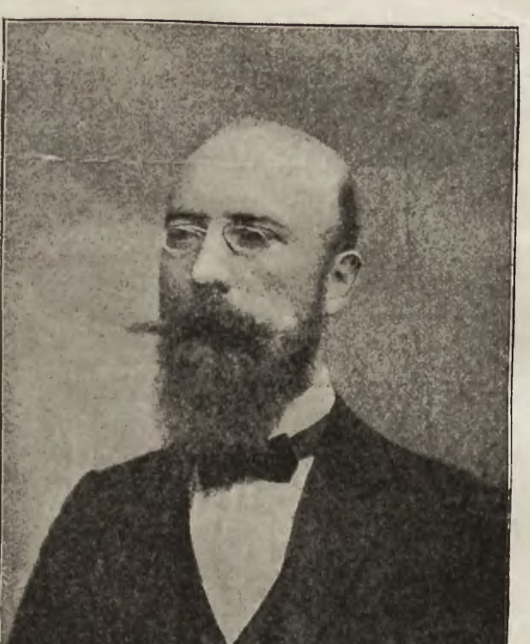
Koło Polskie w Dumie.

Posłowie polscy z Królestwa, nie wybrali prezesa i zapewne w tej pierwszej wiosennej sesyi Dumy nie wybiorą. Zastępuje go na razie komisya wykonawcza, do której powołano posłów: Jana Steckiego, Franciszka Nowodworskiego, Alfonsa Parczewskiego, Jana Harusewicza i Seweryna ks. Czetwertyńskiego. Z pośród nich p. Nowodworski został wybrany na sekretarza Koła polskiego. Na zastępcę sekretarza powołano księdza Maryana Fulmana (posła piotrkowskiego). Dla opracowania regulaminu co do wewnętrznego ustroju i sposobu prac Koła wybrano osobną komisyę, złożoną z posłów: Władysława hr. Tyszkiewicza, Zbigniewa Paderewskiego, ks. Maryana Fulmana, Wiktora Jarońskiego, Alfonsa Parczewskiego, i Teofila Waligórskiego.

Nadto wybrano delegacyę parlamentarną, złożoną z pp. Steckiego, Parczewskiego i Harusewicza, która porozumiewała się już z rosyjskimi konstytucyjnymi demokratami.

W skład Koła wchodzi 27 posłów z Królestwa, niedokonane jeszcze wybory w gubernii warszawskiej i płockiej zasilą nasze przedstawicielstwo jeszcze 7 posłami. Poza Kołem jest 24 posłów Polaków z krajów zabranych, którzy działać będą w porozumieniu z Kołem. Nadto poza ziemiami polskiemi wybrano kilku Polaków, a mianowicie: prof. Petrażyckiego (Petersburg), prof. Szerszaniewicza (Kazań), Demianowicza (Bessarabia), jeszcze dra Leopolda Sicińskiego w Kiszyniewie i p. Jana Gałeckiego w Archangielsku.

Działalność poszczególnych członków Koła polskiego jeszcze nie miała czasu się zaznaczyć. Utrzymują jednak, że główną kierowniczą rolę w Kole odgrywać będą posłowie Parczewski i Waligórski.



Koło Polskie w Dumie: Poseł lubelski Jan Stecki, należący do komisyi wykonawczej, która na razie zastępuje prezydyum Koła Polskiego.

Załączamy tu jeszcze parę dat biograficznych posłów, których portrety podajemy Czytelnikom w dzisiejszym numerze.

Alfons Parczewski, poseł z gubernii kaliskiej, urodził się r. 1850 we wsi Wodzierady w powiecie łaskim. Ukończył szkoły w Kaliszu i Szkołę Główną (ze stopniem magistra prawa i administracyi). W r. 1876 został adwokatem w Kaliszu. Ogłosił liczne prace naukowe.

Jest to człowiek czynu, ożywiony duchem prawdziwie obywatelskim. Był członkiem Towarzystwa Kred. m. Kalisza, protegował instytucye filantropijne, pracował nad oświatą ludu, tworzył chóry włościańskie, był przewodnikiem instytucyi muzycznej w Kaliszu. Ostatnimi czasy był dwukrotnie aresztowany. Należy do stronnictwa narodowo-demokratycznego.

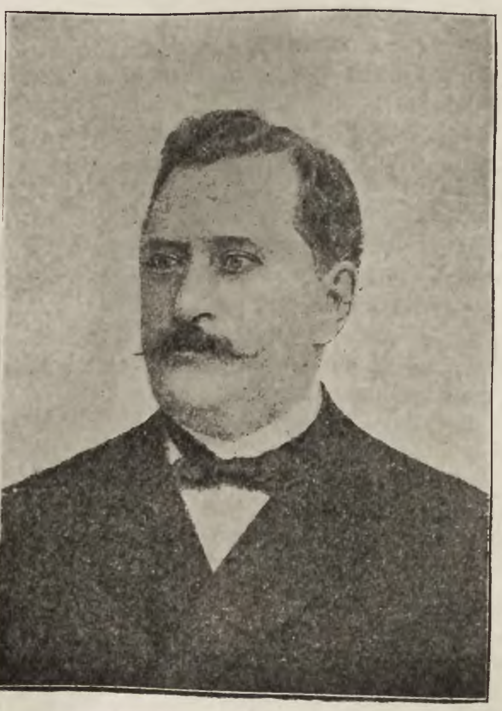
Jan Stecki, poseł lubelski, ur. 22 marca 1871 roku. Ukończył gimnazyum V. w Warszawie. Wydział lekarski na uniwersytecie warszawskim musiał opuścić skutkiem agitacyi politycznej. Posiadając wybitne zdolności publicystyczne, pisywał w r. 1876 do „Głosu“ za czasów Zygmunta Wasilewskiego. Były to artykuły naukowe, polityczne i felietony pisane, żywo i barwnie. Tłómaczył: „Instytucye zawodowe“ Spencera i „Humanistów Nowożytnych“ Robertsona. Napisał oryginalnie „Zasady ekonomii



Koło Polskie w Dumie: Poseł z gubernii kieleckiej, Teofil Waligórski, który wraz z A. Parczewskim odegra kierowniczą rolę w Kole Polskiem.

społecznej“. Był współpracownikiem „Ekonomisty“, „Ateneum“, a ostatnio „Książki“. W r. 1900 i osiadł w Łańcuchowie, gub. lubelskiej. Należy do N. D.

Teofil Waligórski, poseł z gubernii kieleckiej, urodzony w 1862, jest administratorem Ojcowa, słynie jako człowiek nieposzlakowanego charakteru i gorącego serca. Mowca znakomity, jest jednym z najwybitniejszych członków partyi nar



Koło Polskie w Dumie: Alfons Parczewski, poseł z gubernii kaliskiej, senior posłów polskich w Dumie, wybrany do delegacyi parlamentarnej Koła Polskiego.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

10 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Bogu dzięki! — szepnęła Erna z głębi duszy. — Co za oczy zrobi jednak Robert, jak mnie tak nagle zobaczy? Czy się też prawdziwie ucieszy? Wtem, cóż się to stało? Stanęła, jak skamieniała.

Może źle widziała?

Ale nie. Przed portalem ich pałacu stał wielki wóz meblowy. Jednak, może to przecie pomyłka? Podeszła bliżej i ujrzała, że tragarze wynoszą z domu jej własne meble. Zdawało jej się, że śni.

Natknęła na jakiegoś grubego pana, który, jak się zdawało, kierował wyprowadzaniem i stojąc pod portalem bawił się swoim wspaniałym złotym łańcuchem.

— Kto wydał rozkaz wynoszenia rzeczy z mieszkania? — wybuchła, drżąc cała z gniewu i trwogi.

Gruby pan zmierzył ją zdziwionym wielce wzrokiem z poza złotego cwikiera, ale blada, przepiękna twarzyczka Erny musiała mu zaimponować, bo odpowiedział:

— Hrabia Pardua sprzedał mi całe urządzenie swego mieszkania. I ja to właśnie wydałem rozkaz wyniesienia rzeczy; zdaje mi się jednak, proszę pani, że miałem do tego prawo, bo kupiłem wszystko zupełnie legalnie od hrabiego Parduy.

— Od kogo? — spytała Erna, przekonana, że nie dobrze słyszała.

— Od hrabiego Roberta Parduy, który wczoraj wraz z żoną wyjechał.

Zdało się, że młoda hrabina zwaryuje. Myśli poczęły jej niby wężowe płomyki latać po mózgu, a serce biło jej jak młotem.

— Rany Boskie! — krzyknęła, chwytając się gorączkowo muru. Twarz jej była blada jak śnieg i miała w sobie coś z przerażającej martwoty.

— Niech mi pan powie — raz jeszcze — zdaje mi się — że pana — nie zrozumiałam.

Gruby pan flegmatycznie powtórzył jej raz jeszcze to, co powiedział.

— Ależ to przecie być nie może! — zawołała Erna. — Przecież ja jestem żoną hrabiego Parduy!

Grubas popatrzył na nią oczyma, które zdawały się mówić:

— Mój Boże, biedaczka musi mieć nie dobrze w głowie; ja to zaraz po niej poznałem!

— Nie, to nie może być prawdą — powtarzała Erna i chciała wejść do domu, ale grubas ją zatrzymał.

— Daruje pani — rzekł — ale muszę panią poprosić, by pani tego zaniechała, bo dom, tak samo jak i meble, kupiłem wczoraj od hrabiego Parduy. Jeżeli pani ma jaki interes do niego, to proszę się udać do zamku Schleinitz, dokąd hrabia wczoraj wyjechał.

Drżenie przebiegło po ciele Erny. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie był nadbiegł Huhle.

ROZDZIAŁ XVI.

W objęciach martwoty.

Najgorsze, czego się doktór Stürmer obawiał, nie miało wprawdzie miejsca, lunatyczka nie spadła na bruk, ale zatrzymała się na kracie, umieszczonej tuż obok rynny, a służącej do wstrzymywania śniegu.

Lekarz, który nieszczęśliwą nagle stracił z oczu, a nie wiedział dokładnie, czy spadła i gdzie spadła, jak szalony zaczął szarpać dzwonek, wiszący u bramy domu.

— Prędko, otwórzcie! — wołał, ujrzawszy przez górne szyby ponad bramą błysk światła, zwiastujący, że stróż nadchodzi.

— Dajcie mi prędko klucz od strychu! — zawołał, wchodząc do sieni — ale prędko! Nieszczęśliwa może już nie żyje!

W jaki sposób wybiegł po schodach aż na czwarte piętro, tego sam nie wiedział, dopiero, znalazłszy otwór, przez który mógł się był wydostać na dach, uspokoił się trochę. Musiał się uspokoić, bo każdy krok fałszywy znaczył dla niego śmierć.

Rozglądnął się po dachu. W blasku księżyca zobaczył ją leżącą w rynnie. Krata uratowała jej życie.

Złota świetl księżyca opromieniała bladą jej twarzyczkę, czyniąc ją zupełnie podobną do martwej maski. Stürmer sądził nawet z początku, że umarła ze strachu, ujrzawszy się nagle na takiej wysokości.

Powoli, ostrożnie zbliżył się ku niej. Patrzył wciąż na lunatyczkę, wiedząc dobrze o tem, że gdyby spojrzał w dół, w głąb, jaka się przed nim rozciągła, to runąłby w jednej chwili i zabił się.

W jaki sposób udało mu się następnie podnieść nieszczęśliwą i nie zachwiać się, z tego później sam sobie nie mógł zdać sprawy.

W sieni zebrało się tymczasem mnóstwo ludzi, którzy, zobaczywszy lekarza z nieprzytomną kobietą na rękach, podnieśli radosny krzyk na jego cześć. Ale Stürmer nie myślał o sobie. Poprosił jeno, aby mu kto pożyczył koca lub kołdry, którąby mógł otulić nieszczęśliwą, a następnie kazał sprowadzić dorożkę. Zanim wsiadł do niej, ulokowawszy naprzód wygodnie lunatyczkę, rozglądnął się jeszcze za starą wiedźmą. Ale naturalnie, po niej nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Stara, wyrwawszy mu się z rąk, zaczęła szybko uciekać, bo też miała się czego obawiać.

Kiedy wreszcie dorożka stanęła przed domem doktora, Adolf wysiadł, wziął biedną Wildingową na ręce i zaniósł ją na górę. Wyszła przeciw niemu jego matka, śmiertelnie blada. Zbudziła się ona właśnie przed chwilą i ku swemu największemu przerażeniu zobaczyła, że łóżko lunatyczki było próżne.

Szybko wyskoczyła z łóżka i zarzuciła na siebie płaszcz, nie wiedząc sama, co ma robić. Wtem usłyszała turkot wozu i wybiegła na schody. Serce jej się ścisnęło, kiedy zobaczyła Adolfa, niosącego nieszczęśliwą na ręku.

— Chwała Bogu — zaczął lekarz, układając nieprzytomną Wildingową na sofie — przyszedłem w samą porę, aby jeszcze zapobiedz nieszczęściu.

Pani Stürmer zaś, widząc jej bladą twarzyczkę, zaczęła ze łzami w oczach wyrzucać sobie, że nie czuwała nad chorą, jak należało.

— Uspokój się, droga matko! — rzekł syn poważnie — cóżeś ty winna? Zdaje mi się jednak, że musimy biedaczkę oddać do szpitala, bo będzie bardzo chora, ba, obawiam się nawet, że — żal mi tylko małego Fredzia — i wskazał ręką łóżeczko, w którem malec spoczywał.

Jak Stürmer przeczuwał, tak się też stało. Tej samej jeszcze nocy chora popadła w śmiertelną gorączkę. Nie poznawała już nikogo, a nawet kiedy mały Fredziu na drugi dzień zbliżył się ku niej, odsunęła go od siebie jego rękę.

Lekarz i jego matka nie odstępowali od niej ani na chwilę. Matka trzymała w swych rękach drżące od febry dłonie Wildingowej, Adolf zaś zacinał jeno wargi w bólu, słysząc, jak chora w gorączce robiła wyrzuty swemu nieludzkiemu małżonkowi.

— Czemuś ty mnie opuścił, Robercie? — skarżyła się chora — czemu chcesz jeszcze unieszczęśliwić tę niewinną dziewczynę? Robercie, pomyśl jeno, że Bóg jest sprawiedliwy! Mój Robercie, cofnij się z tej drogi, na którą wszedłeś, powróć do mnie; wszak ty nie jesteś hrabią Pardua, ty się przecie nazywasz Wilding — ach, nie wykręcaj się, tyś jest przecie moim mężem!

A potem, wyciągając błagalnie ręce, mówiła:

— Pani moja, ja mam w domu chore dziecko — zlituj się pani — oddaj mi pani męża! Ja go przecie kocham, a nadto on jest ojcem mojego dziecięcia!

Wyczerpana osunęła się na poduszki, twarz jej zmieniła się i przybrała wyraz dzikiej rezygnacyi.

— Robercie! — krzyknęła i podniosła się, tak, że z trudem zaledwie wstrzymał ją lekarz — Robercie! — zawołała raz jeszcze, starając się uwolnić z rąk Adolfa. — Ty mnie nie możesz odepchnąć! Każesz mnie wyrzucić na ulicę?! Nie chcesz mnie poznać, mnie, swej własnej żony?! Biada ci!

Zmęczona, zamknęła oczy. Adolf stał blady przy łóżku, matka jego płakała.

— Ileż ta biedna kobieta wycierpieć musiała! — mówiła, ocierając łzy, ciurkiem jej płynące po twarzy.

— Mamo! — ozwał się nagle lekarz jakimś zmienionym głosem — zdaje mi się, że ta kobieta nie tylko bredzi w gorączce, ale że na niej popełniono zbrodnię. Zauważyłaś, może, że ona mówi ciągle o swoim małżonku, który się nazywa Robert Wilding, a przedstawia się za hrabiego Roberta Pardue. Co to ma znaczyć?

— Zanadto czarno patrzysz na świat, mój Adolfie — odparła matka. — Wierzę wprawdzie, że pani Wilding nie miała dobrego męża, ale to, że ona go zawsze zestawia z hrabią Pardua, to musi być chyba tylko fantazyą, której źródła szukać trzeba w gorączce.

Po chwili jednak dodała:

— Mój Boże, gdyby jednak biedna Erna Solms wpadła w ręce oszusta! — Nie, o tem nawet pomyśleć nie można. Takie rzeczy zdarzają się wprawdzie w powieściach, w romansach, ale nie w życiu.

Lekarz nic nie odpowiedział. Słuchał tylko oddechów chorej, zmieniał kompresy i uważał, z zegarkiem w ręku, na puls.

— Jeżeli febra wzmagać się będzie tak szybko, jak dotychczas — rzekł po chwili — to, moja mamo, ludzka siła nic już nie pomoże.

Staruszka skierowała pełne bólu oczy na chorą, która, jęcząc z bólu, niespokojnie poruszała się na łóżku. Mimowoli pani Stürmer załamała ręce.

— Nie daj Boże — szepnęła — cóżby się stało z dzieckiem?

Westchnąwszy odwróciła się, aby ukryć łzy i poszła do drugiego pokoju. Zastała malca bawiącego się cynowymi żołnierzami.

— Moja ciociu! — zawołał chłopczyna — a czy teraz będę mógł iść do mamy?

— Jutro, Fredziu, jutro — odparła. Teraz ja się trochę z tobą pobawię.

Malec zwiesił smutnie głowę. Nawet zabawa nie szła mu już tak, jak przedtem, chociaż „ciocia“ starała się go, jak mogła, rozbawić.

Na polu szalała burza. Śnieżyca rozhulała się po ulicach, a głuchy wiatr zawodził wokół rozpaczliwe skargi. Staruszka wzdrygnęła się, nagle w oczach jej się ściemniło, a serce zaczęło jej bić silniej, jak zwykle. Owładło nią jakieś nieuświadomione przeczucie. Zwróciła się ku chłopcu, który nagle przestraszony zawołał:

— Mamo! — Mamo!

Pani Stürmer opanowała się, ale zimny mróz przeszedł jej po kościach.

— Ależ, Fredziu! — rzekła — chyba ci się coś śni!

Chłopczyna nic nie odpowiadał, jeno uporczywie wpatrywał się przed siebie.

— Gdzie mama tak prędko poszła? Przecież tu była przed chwilką i skinęła mi głową.

Serce się starowinie ścisnęło, jakby na nie opadła zimna ręka śmierci.

Na polu huczał wicher, siekąc szyby ostrymi płatkami śniegu. Panią Stürmer opadł dziwny jakiś niepokój. Nie była zabobonną, a jednak czuła w tej chwili, że nad biednem dziecięciem rozegrał się właśnie Los. I nie mogąc się opanować, rzekła, drżąc na całem ciele:

— Zostań tu, Fredziu — ja tu zaraz wrócę.

W drzwiach prawie spotkała syna. Spojrzawszy na jego twarz, odgadła odrazu co się stało. Zamknęła więc drzwi i bezsilna prawie opadła na sofę. Miała takie wrażenie, jakby po raz drugi straciła córkę, poczem ukryła twarz w dłoniach i zaczęła gorzko płakać.

. . . .

Głucha cisza zaległa obszerny salon Stürmerów. Meble wszystkie osłonięto czarną krepą, a na tem tle wznosił się na środku katafalk ze zwłokami Wildingowej. Mnóstwo kwiatów otaczało zmarłą, która woskowo-żółte ręce miała na piersiach skrzyżowane.

W tej chwili wyszła stąd właśnie pani Stürmer. Pokochała ona zmarłą w krótkim czasie tak, jak własne dziecko, chciała ją też uroczyście, jak własne dziecko, pogrzebać, chociaż w rzeczywistości była ona jej sercu zupełnie obcą.

Małego Fredzia nie wpuszczała do tego pokoju. A nie mogła się mu prawie oprzeć, bo malec błagał ją, jak umiał, aby go zaprowadziła do chorej mamusi. Teraz miała jeszcze wyjść na miasto, poleciła więc służącej, aby pilnie uważała na malca i nie pozwoliła mu iść do mamy. Chciała, żeby chłopczynie stała zawsze w pamięci matka taka, jaką była za życia, jaką ją codziennie widywał, pełną życia, a nie zmarłą i martwą. Zdawało jej się bowiem, że taki obraz musiałby rzucić na dziecięcy umysł chłopczyny posępny cień na całe życie.

Ale służąca miała czem innem głowę zaprzątniętą, nie zwracała więc na malca uwagi. A chłopczyna tak się stęsknił za swoją kochaną mamą, że po raz pierwszy stał się nieposłusznym cioci i wyszedł ze swego pokoiku. Był już tak duży, że mógł dostać ręką klamkę i w ten sposób otworzyć drzwi, udał się więc naprzód do pokoju, gdzie mama leżała chora.

Otoczył go zimny chłód, okna bowiem były otwarte. Na łóżku nie było mamy; chłopczyna zasmucił się, ale nie stracił odwagi, jeno poszedł do innych pokoi, pewny, że gdzieś przecie, w którymś z nich, znajdzie mamusię.

I znalazł ją.

Z rozwartemi szeroko oczyma stanął malec na chwilę bezradny przy drzwiach. Zapach kwiatów

odurzał go, naraz wśród nich ujrzał bladą twarz swojej matki. Zawołał więc ucieszony:

— Mamo, moja mamusiu!

Ale nie usłyszał, jak zwykle, słodkiej odpowiedzi. Zastanowiło go to, że mama jakoś nic nie odpowiada. Stanął na palcach, przyjrzał się raz jeszcze i wyrzekł powoli:

— Aha, mama jeszcze śpi.

Ponieważ jednak nie mógł jej dobrze widzieć, wylazł na stołek, stojący przy trumnie i raz jeszcze przypatrzył się mamie, nie przeczuwając niczego. Widocznie jednak musiało go coś uderzyć w tej bladej twarzy, bo zawołał nagle z płaczem:

— Mamo, moja mamusiu, obudźże się!

Czekał chwilę, czy się oczy jej nie otworzą, ale nadaremnie. Chwycił więc jej rękę i przyciskając do piersi, skarżył się, płacząc, a łzy padały wprost na twarz zmarłej:

— Mamo, jakaś ty zimna! Tyś zamarzła, mamusiu. Obudźże się, przypatrz się, jakie piękne kwiaty przyniosła ci ciocia!

Kiedy i to nic nie pomagało, chłopczyna zaczął płakać. Położył główkę na twarzy zmarłej i łkał, a całe jego ciało drżało od płaczu. Powoli jednak płacz cichł, a wreszcie biedaczysko znużony usnął, oparty o głowę zmarłej matki.

Wtem, czy to światło świec tak dziwnie zadrgało, czy też rzeczywiście na ustach zmarłej pojawił się skurcz, pełen niewypowiedzianego bólu? Nie, to chyba złudzenie, przecież nic innego być nie mogło!

A jednak nieszczęśliwa nie była nieżywą, nie umarła, leżała tylko w letargu. Żyła jeszcze, ale się ruszyć nie mogła. Słyszała wszystko, co koło niej mówiono, a nie mogła nikomu dać znać, że słyszy, że żyje jeszcze. Nie mogła nawet drgnąć, choć wytężyła wszystkie siły, aby przynajmniej głos jakiś z gardła wydobyć. Słysząc zaś błagania i płacz swego dziecka, pewna już była, że z bólu serce jej chyba pęknie.

— Boże mój! — modliła się rozpacznie — zlituj się, pozwól mi przynajmniej oczy otworzyć, żeby mnie żywcem cie pogrzebano. Jeżeli nie dla mnie, to zrób to dla mego dziecka, miłosierny Panie!

Usłyszała, że drzwi się otworzyły. To pani Stürmer wróciła z miasta i zobaczywszy malca, zawieszonego u szyi matki, aż krzykła z przerażenia.

Podeszła do katafalku i oderwała chłopczynę. A biedna matka chciała krzyknąć choćby w ostatniej sekundzie, aby jej dziecka nie zabierano, jednak nie zdołała nawet ruszyć wargami. Zdawało się, że jej serce pęknie.

I znowu w salonie zaległa śmiertelna cisza, aż po chwili wszedł doktor Stürmer z jakimś wysokim, obcym panem, który stał przez chwilę u progu, ale później, jakby czemś oszołomiony, podbiegł nagle ku katafalkowi. Twarz mu zbladła, jak płótno, tak, że doktor nie mógł się oprzeć zdziwieniu, jakie go ogarnęło.

— Miłosierny Boże! — zawołał nieznajomy drżącym głosem, zakrywając twarz rękoma. — Nareszcie ją znalazłem, ale nieżywą, umarłą — wydartą mi na wieki!

ROZDZIAŁ XVII.

Przerwana zabawa.

Huhle nadbiegł w samą porę, aby potrzymać upadającą ze wzruszenia i oburzenia Ernę, stojącą przy bramie swego własnego pałacu, z którego dalej najspokojniej wynoszono meble.

Przyszedłszy do przytomności, zwróciła się do swego wybawcy:

— Pójdźmy stąd, mój mąż musi być na zamku Schleinitz — szepnęła.

— Pójdę z panią, pani hrabino! Wiem przecie, że pani mnie za to porządnie wynagrodzi. Najlepiej byłoby, gdyby pani gdzie w jakim hotelu przez jakiś czas wypoczęła, a zresztą musi się pani postarać o jakie cieplejsze okrycie.

Odprowadził ją do najbliższego hotelu i przyrzekł, że przyśle jej modniarkę; tymczasem zaś chciał i sam się przebrać.

Erna zgodziła się na wszystko, ucieszona, że w płaszczu, który miała na sobie dzień przed porwaniem jej i w którym ją porwano, znalazła sakiewkę z kilkuset markami.

Myślała i kombinowała, co to wszystko, co ją spotkało, miało znaczyć. Nawet kiedy wieczorem jechała w coupe pierwszej klasy ku swemu zamkowi — Huhle siedział w tym samym pociągu, tylko w klasie trzeciej — drżała z obawy na samą myśl, co ją jeszcze może spotkać.

Wysiadła na małej stacyjce, a ponieważ nie było tam ani jednego wózka, musiała więc razem z Huhlem puścić się pieszo wśród śnieżycy i ciemności ku zamkowi.

Śnieg padał coraz gęstszy i dochodził im aż do kolan. Utrudniało to drogę tak dalece, że przychodziła im nieraz ochota usiąść tak na białych zaspach i wypocząć choćby na chwilę.

Tylko dzięki prośbom i tłómaczeniom Erny Huhle, który już kilkanaście razy się przewrócił, szedł jeszcze za nią. A śnieżyca szalała z coraz większą siłą, śnieg sypał jak z kadzi, niosąc naokół grozę i śmierć.

. . . .

Tymczasem na zamku Schleinitz wesoła panowała zabawa. Wszystkie okna gorzały światłem, a w dziedzińcu zamkowym co raz pojawiały się nowe ekwipaże, przywożąc gości ze sąsiedztwa.

Cóż było tego przyczyną?

Oto dzisiaj właśnie zjawili się hrabia Pardua razem ze swoją młodą małżonką po raz pierwszy w swoich dobrach, jako ich właściciele. Że taką



...zobaczył ją leżącą w rynnie. Złota świetl księżyca o promieniała bladą jej twarzyczkę, czyniąc ją podobną do martwej maski. Powoli, ostrożnie zbliżył się ku niej....

uroczystość należało wesoło obchodzić, to było samo przez się zrozumiałe, a panowie i panie, pospraszani z całej okolicy na zabawę, nie mieli dość słów pochwały dla młodego hrabiego i jego nadobnej małżonki o włosach płomienno-złotych, o cerze marmurowo-białej, piersiach, jakby z alabastru wykutych i dużych, czarnych, demonicznych oczach.

Zabawa dosięgła teraz najwyższego punktu. Starsi panowie rozpływali się w pochwałach, rozprawiając głośno, że zamek Schleinitz nigdy jeszcze nie widział tak nadobnej pary, tak szlachetnej i takiemi zaletami ciała i ducha uposażonej.

Hrabina Pardua — tak się teraz nazywała piękna tancerka Ilona Barrison — siedziała w wygodnym fotelu, a koło niej przewijał się ciągle rój mężczyzn i pań, niby jej gwardya przyboczna. Hrabia Robert stał za jej fotelem.

Orkiestra zaczęła grać walca i hrabia Pardua chciał właśnie olśniewająco piękną swą żonę uprowadzić panom i paniom, kiedy drzwi się nagle otworzyły.

Ilona, spojrzawszy ku nim, jakby ujrzała jakie zjawisko, opadła na fotel, blada, jak trup i drżąc na całem ciele. Hrabia zaś napróżno starał się opanować, wyciągnął ręce przed siebie, jakby szukając oparcia, widać było jednak, że nie wie sam co ma z sobą robić. Tymczasem całe towarzystwo zwróciło oczy ku drzwiom, gdzie ukazała się jakaś postać kobieca, w czarnych sukniach. Oczy jej spoczęły zimno na hrabi, a twarz jej, pokryta śmiertelną bladością, nie zdradzała nawet iskierki życia.

— Robercie! — szepnęła zgasłym głosem — Robercie!

Goście zamilkli naraz, jakby przeczuwając, że za chwilę odegra się tutaj dramatyczna scena. Hrabia tymczasem oprzytomniał i rzucił się ku Ernie. Przycisnął ją do siebie, ucałował blade jej policzki i wyniósł do przyległego obok pokoju.

Zdawało się przez chwilę, że i Ilona chciała pobiedz za nimi, jednak wstrzymała się i starała się jak najspokojniej wytłómaczyć gościom, że to jest siostra jej męża, cierpiąca na histeryę i lekkie pomięszanie zmysłów.

— A więc nie przerywajcie sobie państwo zaczętej zabawy. Hej, weselmy się, póki życia stanie, wesoło żeglujmy po życia potoku.

I śmiała się przytem tak serdecznie, jak gdyby nic w świecie nie zaszło, jak gdyby przed chwileczką nie widziała Erny, swej najzaciętszej rywalki, stojącej w progu balowej sali, chociaż była przekonana, że Erna już od dawna nie żyje i że zjawiła się niby jaki upiór nie z tego świata.

W rzeczywistości jednakże siedziała jak na rozżarzonych węglach, a w głowie jej wirowały najróżnorodniejsze myśli, chociaż na pozór rozmawiała wesoło z otaczającymi ją panami.

Tymczasem hrabia usadowił żonę na wygodnej sofie i stojąc przed nią, blady jak trup, pytał:

— Na miłość Boską, Erno, skąd ty się tu wzięłaś?

Nie odpowiedziała mu ani słowa, jeno wpatrzyła się weń stalowo zimnemi oczyma.

— A więc powróciłaś! — ciągnął dalej hrabia — wróciłaś znowu do mnie, do swego męża, od którego niedawno razem z kochankiem uciekłaś!

Jakby piorunem rażona, Erna podniosła się i spojrzała mu groźnie w oczy.

— Co ty mówisz? — wybuchła, a blada jej twarz stała się jeszcze bledsza—nie rozumiem cię!

— Wiarołomna żono! — syknął szyderczo.

Podeszła ku niemu i drżąc cała z oburzenia, zaczęła mówić powoli, jakby każdemu słowu chciała nadać mocy i siły:

— Tego — nie — powtarzaj! — Robercie, jakże ja cię mam rozumieć?

— Co, nie rozumiesz mnie? — odparł jej szyderczo — czyż mi sama nie pisałaś, że nie możesz żyć ze mną, bo kochałaś już przedtem tamtego?

— Boże! — zawołała Erna, chwytając się za głowę, która zdawała się jej pękać z bólu. — Czy oszalałam, że słucham czegoś podobnego? Więc ja miałabym kochać kogo innego? Robercie, Robercie, przyznaj się, to chyba niedorzeczny żart tylko z twojej strony!

— Nie mam wcale do żartów ochoty — rzekł sucho — ja mam wszystko czarne na białem. Chwała Bogu mam jeszcze list, jakiś do mnie pisała.

Dysząc ciężko rozpiął frak i wyjął z kieszeni list.

— Może nie zechcesz czytać swego własnego listu? Zapomniałaśże własnych słów?

(Ciąg dalszy nastąpi).

W środku karyery.

Gościł w krakowskim teatrze jeszcze w samym początku swej artystycznej karyery i to przelotnie tylko. Ale zna go Warszawa, Łódź, znają



W środku karyery: Niebezpiecznie chory umysłowo, Maryan Winkler, znakomity artysta dramatyczny, ulubieniec publiczności warszawskiej.

wszystkie miasta prowincyonalne Królestwa, Maryana Winklera, przyzwyczaiwszy się cenić w nim artystę wyższej miary, tak, że wiadomość o ciężkiej jego chorobie umysłowej, wywołała powszechne współczucie.

Artysta ten *par excellence* charakterystyczno-komiczny, o dużym talencie, o subtelnym zmyśle obserwacyjnym, obdarzony mimozowo wyczuloną mimiką, acz uprawiał dział ról komicznych i komiczno-charakterystycznych, umiał być zawsze głębokim psychologiem, przez co każda jego kreacya nie tylko bawiła, rozśmieszała, ale stanowiła swego rodzaju doskonałe studyum natury ludzkiej. Dzięki tej właściwości obejmował bogaty jego repertuar możliwie najszerszą skalę twórczości scenicznej od typów płaskich, powierzchownych, aż do wysoce dramatycznych, tragicznych nawet.

Bo Winkler odczuwał zawsze człowieka, nigdy rolę.

W zadaniu tem zwyciężał wprost sam siebie, z głębi duszy własnej dobywając tych uzupełniających środków, jakich mu poskąpiła przyroda, obdarzywszy go małym wzrostem, zanadto wyrazistym rysunkiem twarzy i nieczystym, chrypliwym głosem. Z przedziwną intuicyą umiał jednak jakby na złość macoszej przyrodzie, wszystkie te nawet ujemne dane zewnętrzne w szeregu kreacyj od króla Menelaja w „Pięknej Helenie“ Offenbacha począwszy, a na profesorze akademii malarskiej w „Koledze Crammptonie“ Hauptmana skończywszy.

Długie lata filar teatru łódzkiego, dostał się wreszcie do Warszawy do teatru „Nowości“, choć marzył zawsze o „Rozmaitościach“. — Lecz i tu wkrótce stał się ulubieńcem publiczności, witającej każdym razem jego wyjście na scenę z prawdziwą radością i nadzieją ubawienia się, uśmiania aż do łez... Grzmiała też sala zawsze oklaskami dla wybornego artysty....

Aż go niedawno pewnego wieczoru już nie stało. Zachorował nagle na niedokład mechanizmu myślenia. Zachorował ciężko, tak, że w szpitalu Bonifratrów dla chorych umysłowo mało robią nadziei przywrócenia dzielnego artysty sztuce scenicznej i publiczności.

Może jednak zwycięży jeszcze żywa siła ducha nad fizyczną niemocą. Chciejmy wierzyć i mieć nadzieję. *B-t.*



Dezerterka z „Rozmaitości“: Pierwszorzędna artystka sceny warszawskiej, Irena Trapszo Chodowiecka, która pozyskana została do teatru miejskiego we Lwowie.

Dezerterka z „Rozmaitości“.

Powoli zaczynamy zdobywać tajemnice, jakiemi zrazu nie chciał dzielić się z nami Ludwik Heller, nowy dyrektor teatru miejskiego we Lwo-



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis w Krakowie.

Pionierzy oświaty w ujeżdżalni: Otwarcie teatru ludowego w Krakowie w ujeżdżalni Targowskiego przy ul. Rajskiej; grupa artystów i artystek z dyrektorem Fr. Frączkowskim i kierownikiem literackim A. G. Siedleckim, zdjęta na próbie generalnej przedstawienia inauguracyjnego, na nowej scenie, na tle dekoracyj do sztuki Staszczyka „Wiara, Nadzieja i Miłość“

wie. Dziś wiemy już na pewne, że stolica Nadpełtwiańska pozyskała jeden z tych brylancików teatralnych, jaki olśniewał przez szereg lat publiczność Syreniego grodu z desek małej, a tak serdecznie przez Warszawę ukochanej sceny „Rozmaitości“. Mówimy o sympatycznej artystce, pani



Zmiana władców Tunisu: Zmarły niedawno Sidi Mahomed El Hadżi, bej Tunisu.

Irenie Trapszo-Chodowieckiej, która należała do grona prawdziwych ulubienic teatromanów warszawskich i której występy zaliczano zawsze do najprzyjemniejszych wieczorów. Talent to bowiem pierwszorzędny i nadzwyczaj różnorodny, odpowiedni i do komedyi salonowej i do dramatów kostiumowych, naginający się zarówno do sztuk starego repertoaru, jak do utworów najnowszej szkoły. Nie dziw, wszak pani Chodowiecka pochodzi z rodziny Trapszów, a wiadomo, ilu tej rodzinie scena polska we wszystkich trzech dzielnicach kraju zawdzięcza niezrównanych aktorów, a nadto kilku pedagogów teatralnych, którzy wykształcili całe pokolenia talentów i użytecznych zdolności aktorskich. Jakkolwiek nie mniej ceniona i mile przez publiczność widziana, nie dorównywa pani Irena Trapszo Chodowiecka młodszej siostrze swojej, pani Tekli Trapszo-Krywultowej, znakomitszej koleżance swej w „Rozmaitościach“, której niema równej w Polsce wykonawczyni ról lirycznych, a która utkwiła w pamięci Krakowian niezapomnianą kreacyą „Hanusi“ Hauptmana. Inny to rodzaj talentu. Ale nie wątpimy, że i pani Irena Chodowiecka w krótkim czasie zdoła podbić publiczność lwowską, dla której dyrektorowi Hellerowi udało się ją pozyskać i skłonić do dezercyi z „Rozmaitości“ i z Warszawy, mimo, że z tą łączą ją nawet węzły rodzinne.

Pionierzy oświaty... w ujeżdżalni.

Tomy całe napisano już u nas dla udowodnienia, iż jedną z potrzeb niezbędnych, w Polsce bardziej niż w innych krajach, jest stały, dobry teatr ludowy. Jego zadaniem jest dać godziwą, szlachetną rozrywkę tym warstwom szerokim, które w miastach zwłaszcza nuda rzuca w szpony hazardu na upodlenie, lub pędzi do knajpy na zmarnowanie ducha i ciała... Jego zadaniem jest zarazem stać się szkołą kulturalno-etyczną zarówno dla młodzieży, jak dla ludzi dorosłych a nieinteligentnych; jedną z tych szkół uzupełniających, dla niezamożnych w pierwszym rzędzie przeznaczonych, których brak właśnie w kraju naszym, w szkolnictwo ubogim — kraju analfabetów... U nas jeszcze tyle jest wsi, gdzie wcale niema budynku na szkołę; u nas po miastach za ciasno jest tym nawet nie dość licznym rzeszom szukających nauki w murach szkolnych... Więc czyż można dziwić się, że nie posiadamy jeszcze



Zmiana władców Tunisu: Nowy bej Tunisu, Mohammed el Nasser, który objął rządy po zmarłym niedawno beju Mohammedzie el Hadżi.

umyślnych gmachów odpowiednich na teatry ludowe, poza pałacami sztuki dramatycznej i muzycznej, których progów wysokich nie przekroczy



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis w Krakowie.

Pionierzy oświaty — w ujeżdżalni: Poświęcenie przerobionego na teatr ludowy budynku ujeżdżalni przy ul. Rajskiej w Krakowie; ks. Płonka w otoczeniu dyrekcyi i artystów na nowej scenie.

tłum ubogich, bo go nietylko nie stać na to, ale nadto dla tej prostej przyczyny, że to są — w jego pojęciu — pałace dla pańskiej zabawy, gdzie on w wytartej przy pracy bluzie czułby się skrępowany, czułby się nawet za swoje pieniądze nie u siebie, pomijając, że zbyt często znalazłby się jak gdyby na tureckiem kazaniu,

Dla takich właśnie względów zakładali przygodni dyrektorzy tu i ówdzie sceny ludowe. Ale ponieważ trzeba było w widowni dużo miejsca, tembardziej, że po niskich cenach, przeto nie mając lokalów odpowiednich, szukano przytułku... w ujeżdżalniach. Co za ironia: pionierzy oświaty w manężach! Rano jazda konna w kółko, a wieczorem teatr, mający być szkołą... Tak było przez szereg lat w Warszawie, gdzie polski teatr ludowy, kierowany przez Gawalewiczów, Przybylskich, Trapszów — musiał grywać w ujeżdżalni i to żandarmskiej ujeżdżalni! Tak było niedawno w Krakowie w nieistniejącej dziś ujeżdżalni pod Kapucynami, gdy Knake-Zawadzki pierwszy zakładając teatr ludowy, nie mógł znaleźć dlań lepszego przytułku. Późniejsza sala na Krowoderskiej okazała się za mała. I oto znowu innej rady nie miał nowy teatr ludowy pod kierunkiem pp. Frączkowskiego i Siedleckiego, jak przerobić na cele sceny popularnej dużą ujeżdżalnię Targowskiego na Rajskiej. Może tym razem końska arena będzie wreszcie po raz ostatni przybytkiem oświaty ludowej i szlachetnej rozrywki dla warstw szerokich, tak upośledzonych pod tym względem w ogóle w Polsce, a w Krakowie w szczególności. Miejmy nadzieję, że rychło przyjdzie nam dać fotografię stałego budynku teatru ludowego w Krakowie, dokąd przeprowadzi się z ujeżdżalni dyrektor Frączkowski ze swą nową trupą.



Inne czasy w Petersburgu: Po przyjeździe do stolicy na otwarcie Dumy, cesarz Mikołaj II. (1) z małżonką (2) i matką, udaje się z przystani do pałacu Zimowego.

Tymczasem korzystając z okazyi otwarcia przybytku sztuki ludowej przy ul. Rajskiej, sfotografowaliśmy dla naszych Czytelników całą trupę artystyczną na scenie na próbie generalnej przedstawienia inauguracyjnego i w czasie uroczystości poświęcenia teatru przez ks. Płonkę. Nowozawiązane towarzystwo przedstawiło się jak najkorzystniej pod względem artystycznym, podobnie jak scena i widownia ze strony technicznej nie wiele pozostawiają do życzenia. Największą zaletą teatru jest to, że pomieści 1500 osób, z czego tysiąc na miejscach po 20 i 40 groszy.

Zmiana władców Tunisu.

Dnia 11 maja zmarł koło Tunisu w letniej swojej rezydencyi El Marsa, leżącej tuż obok ruin starożytnej Kartaginy, Sidi Mohammed el Hadżi, władca Tunisu, którego portret zamieszczamy dzisiaj. Zmarł w kwiecie męskiego wieku, w pełni sił. Urodzony w roku 1855, wstąpił na tron dopiero 11 czerwca 1902 jako następca swego ojca Sicli Ali. Wykształcenia europejskiego nie posiadał, za to miał duszę prawdziwie piękną, charakter prawdziwie wspaniały i to mu zastępowało kulturę. Był to człowiek prosty, skromnych obyczajów i skromnych wymagań. Podczas swoich krótkich rządów okazał się lojalnym wasalem Francyi, przynajmniej nigdy nie przyszło mu na myśl nie uznawać w jakiejkolwiek sprawie zwierzchnictwa francuskiej republiki nad swoim krajem. Miał też pewną francuską ogładę, umiał nawet wcale dobrze po francusku. Był dwa razy w Paryżu, raz podczas wielkiej międzynarodowej wystawy w roku 1900, drugi raz oficyalnie jako bej Tunisu w roku 1904. Brał wtedy udział w uroczystości narodowej i w rewii wojsk w Longchamps, owacyjnie i z żywą sympatyą witany przez Paryżan. Wstąpiwszy ua tron, oświadczył zaraz namiestnikowi francuskiemu, że jest Francyi serdecznie wdzięczny za opiekę, jakiej użycza Tunisowi.

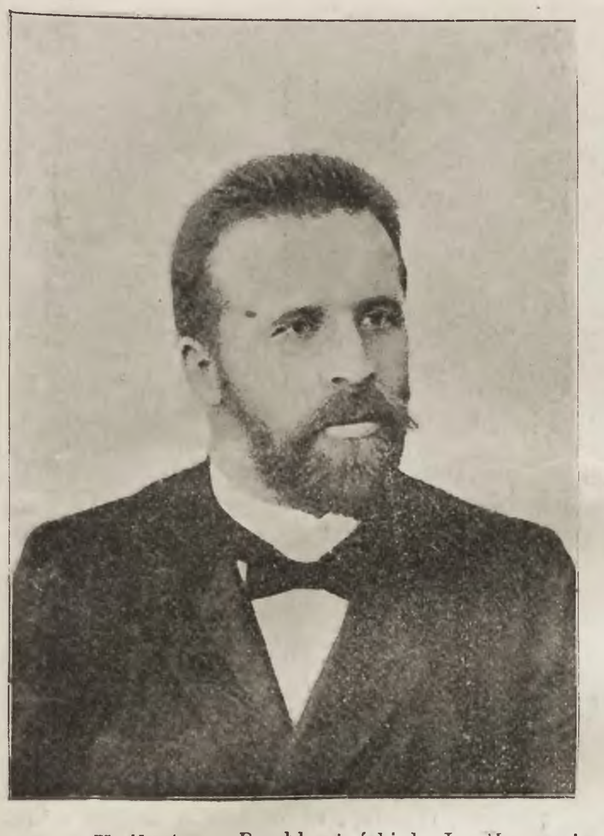


Inne czasy w Petersburgu: Ambasadorowie zagraniczni zjeżdżają się do pałacu Zimowego na uroczystość otwarcia Dumy.

Mohammed el Hadżi pozostawił dwóch synów, księcia Tahara i Beirir. Ponieważ jednak, wedle brzmienia konstytucyi tuniskiej, tron przechodzi nie na syna zmarłego beja, ale na najstarszego członka książęcej rodziny, berło Tunisu objął więc Mohammed el Nasser, syn brata beja Sidi Ali, a zatem kuzyn zmarłego. Mohammed el Nasser, którego portret również zamieszczamy, liczy już dzisiaj 50 lat. Urodził on się w roku 1855. Matka jego była kasyerką cyrkową. Nowy władca nie żył ze swoim poprzednikiem w najlepszej zgodzie, uchodzi jednak za człowieka liberalnych przekonań. Oficyalne objęcie rządów przez niego odbyło się zaraz na drugi dzień po śmierci beja el Hadżi, to znaczy 12 maja, w oficyalnym pałacu bejów Tunisu. Nawiasem mówiąc było to w rocznicę podpisania traktatu, zapewniającego Francyi protektorat nad Tunisem.



Inne czasy w Petersburgu: Posłowie opuszczają po uroczystości pałac Zimowy, udając się do pałacu Taurydzkiego na pierwsze posiedzenie Dumy.



O prawa Królestwa: Poseł łomżyński dr. Jan Harusewicz, lekarz z Ostrowia, który wniósł w Dumie głośną deklaracyę imieniem posłów polskich o prawa Królestwa.

O prawa Królestwa.

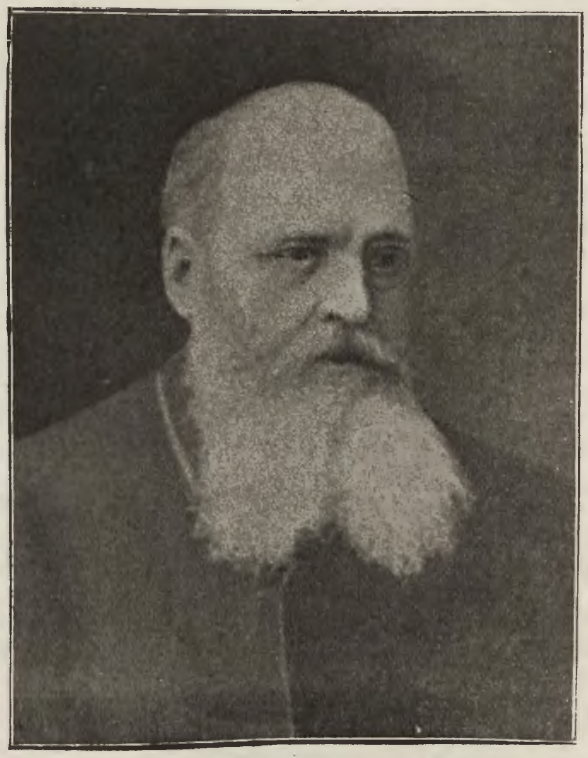
Zaciętą polemikę w prasie wywołała głośna deklaracya polskich posłów w Dumie w obronie praw Królestwa. Wniesieniem jej w Izbie zwrócił na siebie uwagę poseł łomżyński, narodowy demokrata, dr. Jan Harusewicz, zasłużony obywatel i lekarz w Ostrowiu. Oto jego portret. Człowiek to w sile wieku, nie ma lat 50. Do szkół chodził w Łomży, poczem na medycynie w Warszawie został z 3-go kursu wydalony za udział w wiecu przeciwko Apuchtinowi. Po doktoracie był lekarzem w szpitalu św. Ducha w Warszawie, zanim powrócił w Łomżyńskie, gdzie osiadł w Ostrowiu. Pisywał do „Głosu“ warszawskiego i „Ech“ łomżyńskich. Jako działacz społeczny cieszy się powszechnym szacunkiem.

Inne czasy w Petersburgu.

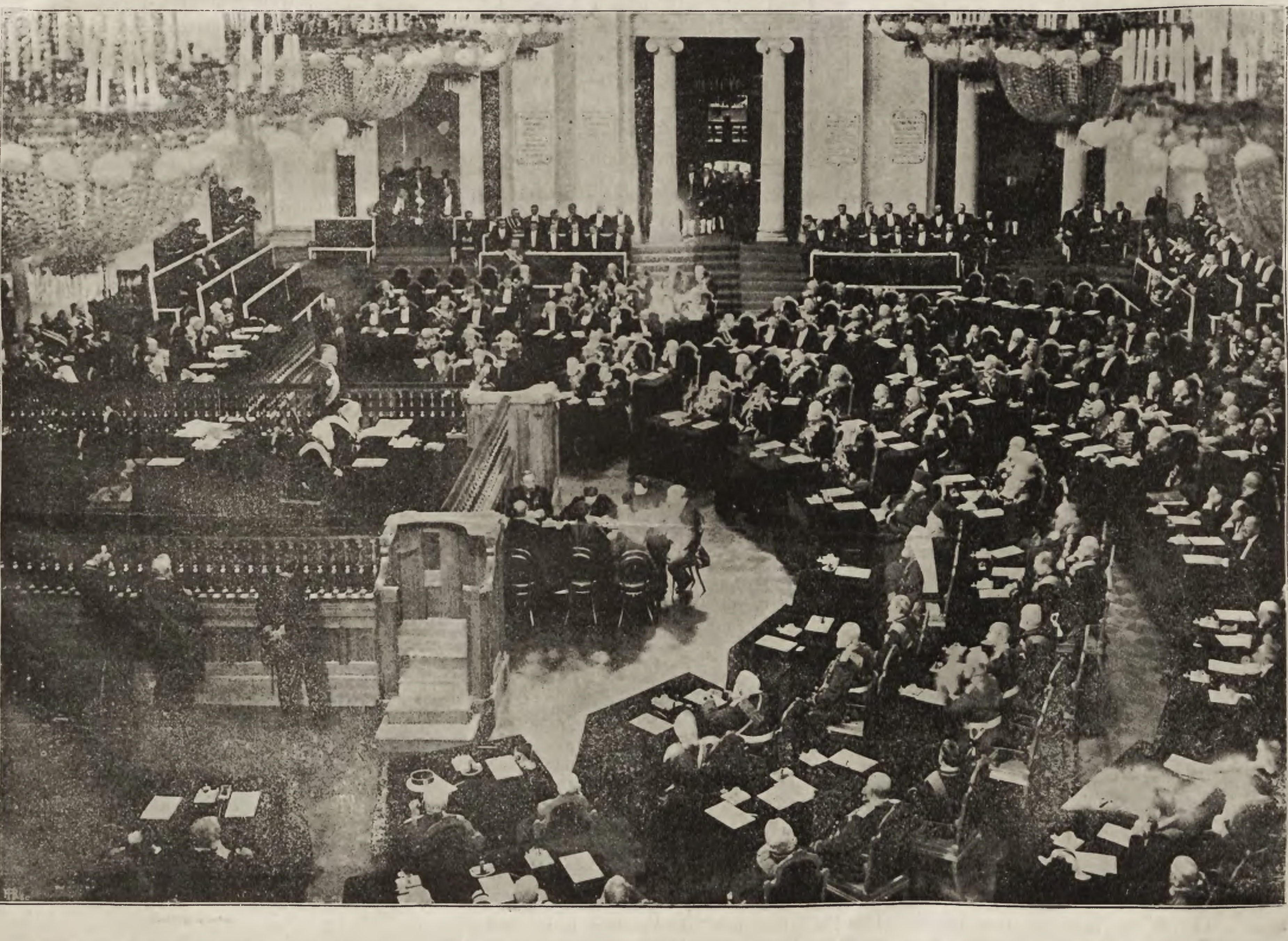
Z łatwo zrozumiałem zaciekawieniem zwracają się oczy wszystkich w ostatnich dniach ciągle w stronę Petersburga. Dla zaspokojenia tedy ogólnego zainteresowania epokowemi wypadkami nad Newą, podajemy dziś Czytelnikom w dalszym ciągu szereg portretów osobistości oraz illustracyj z uroczystych dni historycznego aktu otwarcia Dumy i zreformowanej Rady państwa. Jedna z fotografij wyobraża przybycie dworu do stolicy; dalsze, grupy posłów przed pałacem Zimowym po otwarciu Dumy; to znów pierwsze posiedzenie Rady państwa, już z udziałem członków z wyboru, oraz portret jej prezydenta hr. Solskiego.

Młodzież lwowska w Krakowie.

Jak co roku, tak i obecnie przybyła dla zwiedzenia Krakowa grupa młodzieży lwowskiej. W liczbie przeszło 200 studenci osobnym pociągiem przyjechali we czwartek wieczór. Na dworcu przywitała ich deputacya organizacyi wojskowej studentów krakowskich z muzyką; przed dworcem oczekiwała na kolegów ze Lwiego grodu cała młodzież krakowskich szkół średnich, ustawiona w czwórkach, ze sztandarami i drugą orkiestrą. Kiedy lwowiacy pojawili się na werandzie, przywitano ich z całą serdecznością, zatrzepotały w powietrzu barwne sztandary, rozległy się wspaniałe dźwięki pieśni legionów i młodzież lwowska posunęła naprzód ku pomnikowi Mickiewicza, odprowadzana przez długi sznur młodzieży krakowskiej. U stóp pomnika odśpiewali goście pieśni patryotyczne, poczem przemówił do nich profesor krakowskiej szkoły realnej, znany literat dr. Józef Flach, który powitał gości imieniem grona profesorskiego i Krakowa. Przemawiał również delegat młodzieży krakowskiej. Po złożeniu wieńca na pomniku, młodzież lwowska udała się na plac Szczepański, gdzie przed nią przedefilował cały olbrzymi wąż krakowskiej organizacyi studenckiej przy dźwiękach orkiestr gimnazyalnych, poczem goście lwowscy poszli na kolacyę do restauracyi Drobnera na plantach. W piątek rozpoczęli uczniowie lwowscy pod przewodnictwem profesorów i delegatów akademickiego koła Tow. Szkoły Lud. imienia Asnyka, zwiedzanie Krakowa, jego kościołów, pamiątek i muzeów, wieczorem byli na przedstawieniu „Dziadów“ w teatrze miejskim. W sobotę po południu udali się do Wieliczki, gdzie zwiedzili saliny. W sobotę w nocy wróciła do Krakowa grupa młodzieży lwowskiej z profesorem IV. gimnazyum p. Majerskim na czele, która znając już Kraków, jeździła do Zakopanego.



Inne czasy w Petersburgu: Prezydent nowej Rady państwa, D. M. hr. Solskij.

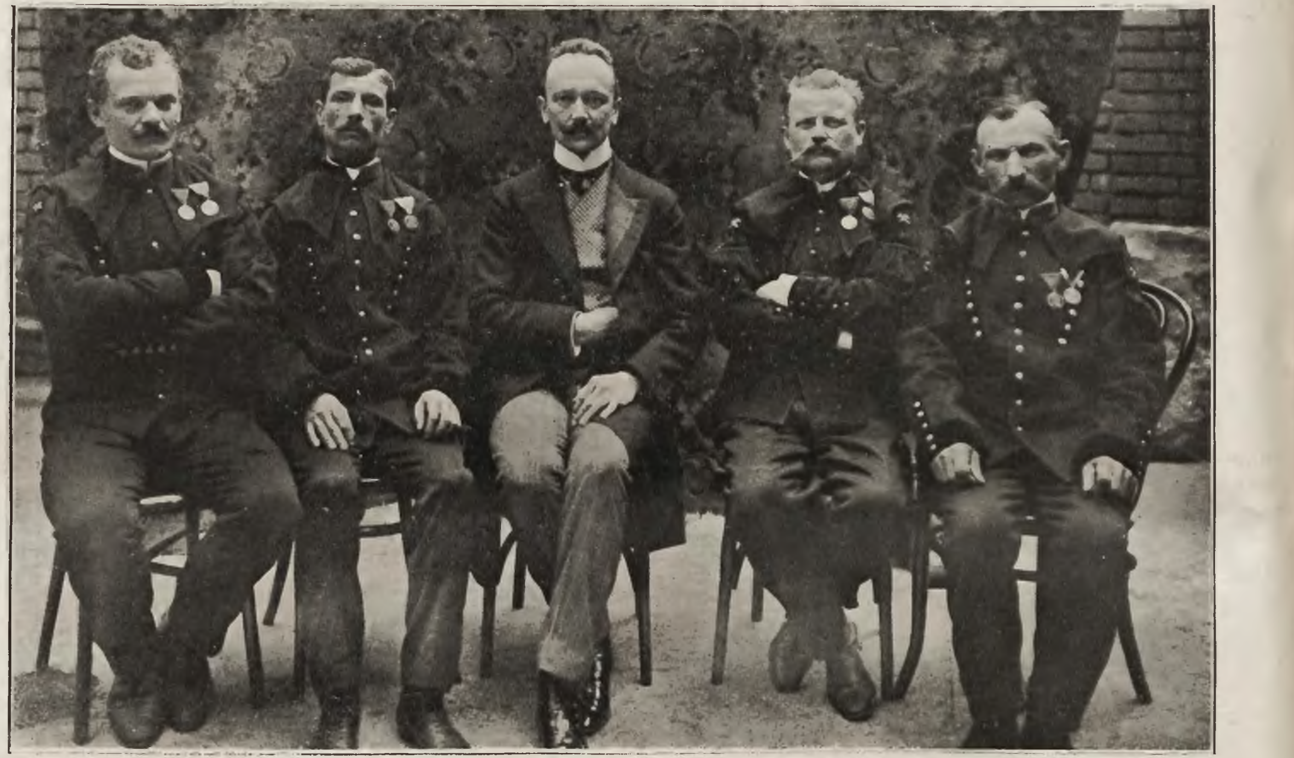


Inne czasy w Petersburgu: Pierwsze posiedzenie rosyjskiej Rady państwa z udziałem członków z wyborów, pod prezydencyą hr. Solskiego w pałacu Maryjskim.

W niedzielę zwiedzili kopiec Kościuszki, a po południu odprowadzeni znów przez młodzież krakowską, wyjechali do Lwowa, unosząc ze sobą żywe i gorące wrażenie z krótkiej, a jednak tak dla nich ważnej wycieczki.

Wycieczka do Krakowa zaaranżowana została przez dyrektora szkoły realnej p. Lityńskiego; wycieczkę do Zakopanego zaaranżował profesor Majerski. Zwiedzili lwowiacy Morskie oko, dolinę Strążyską i inne godne widzenia rzeczy. Mieszkali w willi „Staszeczkówka“, której właściciel, pan Pawlica, nie szczędził trudów ni zabiegów, aby młodzieży pobyt w Zakopanem uczynić jak najmilszym. Lwowiacy wspominali go z żywą wdzięcznością.

Zamieszczone w niniejszym numerze illustracye przedstawiają: jedna grupę młodzieży lwowskiej z prof. Majerskim na czele, grupę, która po zwiedzeniu Zakopanego przybyła do Krakowa. Wszyscy ci studenci mają ciupagi. Druga illustracya, to fotografia młodzieży lwowskiej, zdjęta podczas obiadu w restauracyi Drobnera na plantacyach w Krakowie. Na trzeciej illustracyi wreszcie widzimy Lwowiaków, już w pociągu, przed samym odjazdem z Krakowa, żegnanych przez licznie na peronie zgromadzoną młodzież i publiczność.



Krzywda polskich górników: Deputacya górników z salin Wieliczki i Bochni z adwokatem krakowskim dr. Włodz. Lewickim, który, jako autor ich petycyi w sprawie polepszenia bytu, prowadził deputacyę do Wiednia do ministra skarbu.

Krzywda polskich górników.

Znane są w świecie sławne galicyjskie saliny Wieliczki i Bochni. Olbrzymie bogactwo soli, tego nieodzownego artykułu spożywczego dla ludu i zwierząt, jej znakomita jakość, niezmierna obfitość pokładów, które jeszcze stulecia całe zaopatrywać będą świat w ten nieoceniony minerał — oto warunki, które Wieliczkę i Bochnię czynią skarbcem i perłą monarchii. Tysiące obcych z całego świata zjeżdża corocznie w saliny, by podziwiać nietylko wspaniały dar Boga, lecz i śmiały, pełen dobroczynnego skutku trud ręki ludzkiej. Ośmset lat blisko trwa to wielkie dzieło przyrody na pożytek bogatym i ubogim, rzec prawie można, każdej żywej istocie.

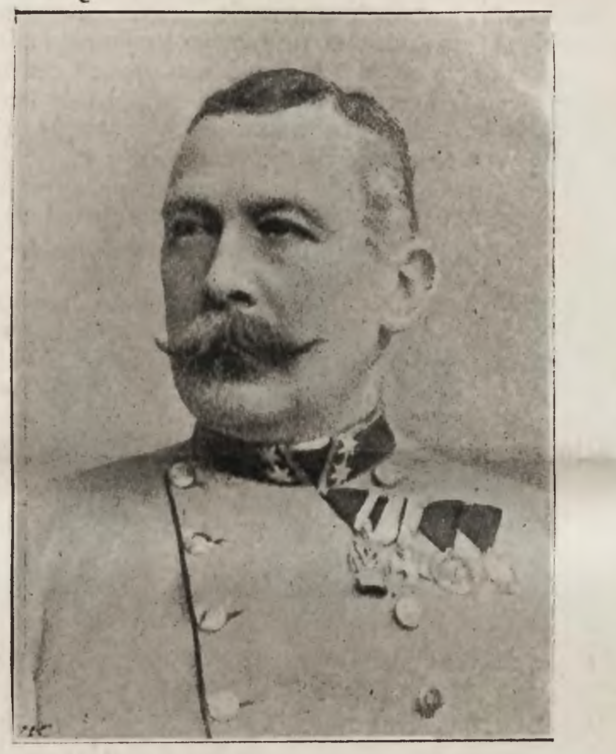
Gornicy salin Wieliczki i Bochni, ci, którzy ciężką pracą w mroku podziemia wydobywają cenną sól, pracując z narażeniem własnego życia i bytu licznych swoich rodzin, znajdują się jednak dotychczas w opłakanem materyalnem położeniu z powodu niesłychanie niskiej płacy, jaką pobierają. W Wieliczce i Bochni jest ich razem około 1300; podzieleni są na klasy i płatni dziennie. Najwyższe wynagrodzenie górnika wynosi 2 K. 60 h. na dzień, takich atoli w obydwu salinach w Bochni i Wieliczce jest razem 61 ludzi. Reszta płac waha się między 2 K. 50 h. i 1 K. 80 h. dziennie. Oczywiście największa liczba jest tych, którzy pobierają po 1 K. 80 h. dziennie, Jeżeli się odliczy niedziele i święta, jeżeli się zważy, że w Wieliczce i Bochni panuje ogromna drożyzna, że brak jest mieszkań, tak, że górnicy mieszkają w przyległych wioskach nieraz o kilka i kilkanaście kilometrów od kopalni, ze prawie wszyscy mają rodziny nieraz bardzo liczne — to istotnie dola ich przedstawia się jako niesprawiedliwy wyzysk ich sił i życia.

Krzywda zaś tych ludzi, jest tem jaskrawszą, że robotnicy rządowych salin w krajach alpejskich mimo, że artykuły spożywcze są tam znacznie tańsze niż w Galicyi, mają o 10 do 15% wyższe wynagrodzenie.

Od wielu lat proszą i błagają nasi górnicy różnemi drogami swego chlebodawcę, rząd, o polepszenie ich doli. W roku 1901 dano im na pozór jakieś ulepszenia, które wprowadziły wprawdzie dziewięć stopni wynagrodzenia, atoli nie polepszyły ich losu. Jakby ironia wygląda przepis, że aby górnik mógł przejść od jednego stopnia płacy do drugiego, to znaczy pobierać 10 halerzy więcej dziennie, musi nienagannie pracować przez trzy lata!

To też będąc już prawie w rozpaczliwem położeniu, górnicy z Wieliczki i Bochni wnieśli obecnie zbiorową wielką petycyę do pp. ministrów skarbu i rolnictwa we Wiedniu, przedstawiając swoje smutne położenie. W ubiegłym tygodniu udała się do Wiednia deputacya, która w asystencyi i pod kierownictwem posłów Dra Bindera i bar. Battaglii, znalazła życzliwe przyjęcie u ministra skarbu, u szefów sekcyi: Engla, Jorkascha Kocha i Buszmana oraz u referenta spraw górniczych galicyjskich, nadradcy górniczego Windakiewicza. Jest więc nadzieja, że krzywda polskich górników wkrótce choć w części usuniętą zostanie.

Rycina nasza przedstawia górników z Wieliczki i Bochni wraz z adwokatem Drem Włodzimierzem Lewickim, który jako autor petycyi, prowadził deputacyę we Wiedniu.



Śmierć komendanta brygady: Śp. gen. Alfons Makowiczka, zmarły w Pradze komendant 18 orygady, który w Krakowie zostawił dobre wspomnienie ze swego tu pobytu.

Śmierć komendanta brygady.

Dnia 8-go maja zmarł w Pradze po dłuższych cierpieniach generał Alfons Makowiczka. Był to jeden z tych dygnitarzy wojskowych, który prawością charakteru i taktem w postępowaniu umiał sobie zjednać nie tylko życzliwość i sympatyę u swoich kolegów i podwładnych, ale i szczere uznanie u „cywilów“. Gen. Makowiczka bawił przez dłuższy czas w Krakowie, gdzie był oficerem sztabu generalnego, a następnie pułkownikiem i komendantem 56 pułku piechoty. W Krakowie pozostawił w szerokich kołach obywatelskich żywą pamięć i serdeczne wspomnienia. Przeniesiony do Esseg w roku 1897 na stanowisko komendanta 13 tej brygady, mianowany został w rok później generał majorem, a wreszcie feldmarszallejtnantem. Zmarły był kawalerem orderu żelaznej korony. Pogrzeb odbył się 17 maja w Ołomuńcu.

W numerze niniejszym zamieszczamy portret śp. Makowiczki, przekonani, że czynimy zadość życzeniu szerokich kół naszego miasta, które miały sposobność znać i ocenić prawość zmarłego.



Aparatem redakcyjnym fot. dla „Nowości Illustr.“ W. Lis.

Młodzież lwowska w Krakowie: Grupa studentów lwowskich z profesorem Majerskim, która po wycieczce do Zakopanego przybyła do Krakowa, połączyć się z kolegami, zwiedzającymi Kraków.

Posłowie do Rady państwa z Królestwa Polskiego.

Zaroiło się w d. 17 maja w salach gmachu Tow. Kred. Ziem. w Warszawie od wyborców z całego Królestwa Polskiego, którzy w liczbie 60 przedstawicieli wielkich własności wybrać mieli z pośród siebie sześciu posłów a raczej członków Rady państwa, składającej się dziś podług nowych ustaw w połowie z mianowanych przez cesarza, w połowie obieralnych członków. Niemniej do głosowania samego przystąpiło tylko 59 wyborców, gdyż jeden z nich na wstępie zebrania wypowiedział zdanie, iż w myśl odpowiedzi Dumy na mowę tronową, domagającej się zniesienia Rady państwa, powinny wybory do niej być zupełnie zaniechane. Wyborca ten nazwiskiem Piotr Górski opuścił po tem oświadczeniu zebranie, które po krótkich naradach (fot. I) przystąpiło do wyborów, a tym przewodniczył prezes Janusz Śliwiński przy asyście asesorów Czesława ks. Światopełk-Mirskiego, Konstantego Przewłockiego, Bolesława Zakrzeńskiego, Tomasza Wolskiego i Stefana Godlewskiego. Wszyscy oni znajdują się w załączonej grupie wraz z wybranymi sześciu posłami w porządku otrzymanych głosów następującym: Leopold bar. Kronenberg, Stanisław Gawroński, Józef Ostrowski, Konstanty Przewłocki, Eustachy Dobiecki i Antoni Napiórkowski.

Wybrani posłowie rozjechali się tuż po skończonych wyborach do domów dla poczynienia przygotowań do podróży i dłuższego pobytu w Petersburgu, dokąd gremialnie odjechali w poniedziałek żegnani na dworcu petersburskim przez niewielką grupę przyjaciół. *B-t.*



Aparatem redakcyjnym fot. dla „Nowości Illustr.“ W. Lis.

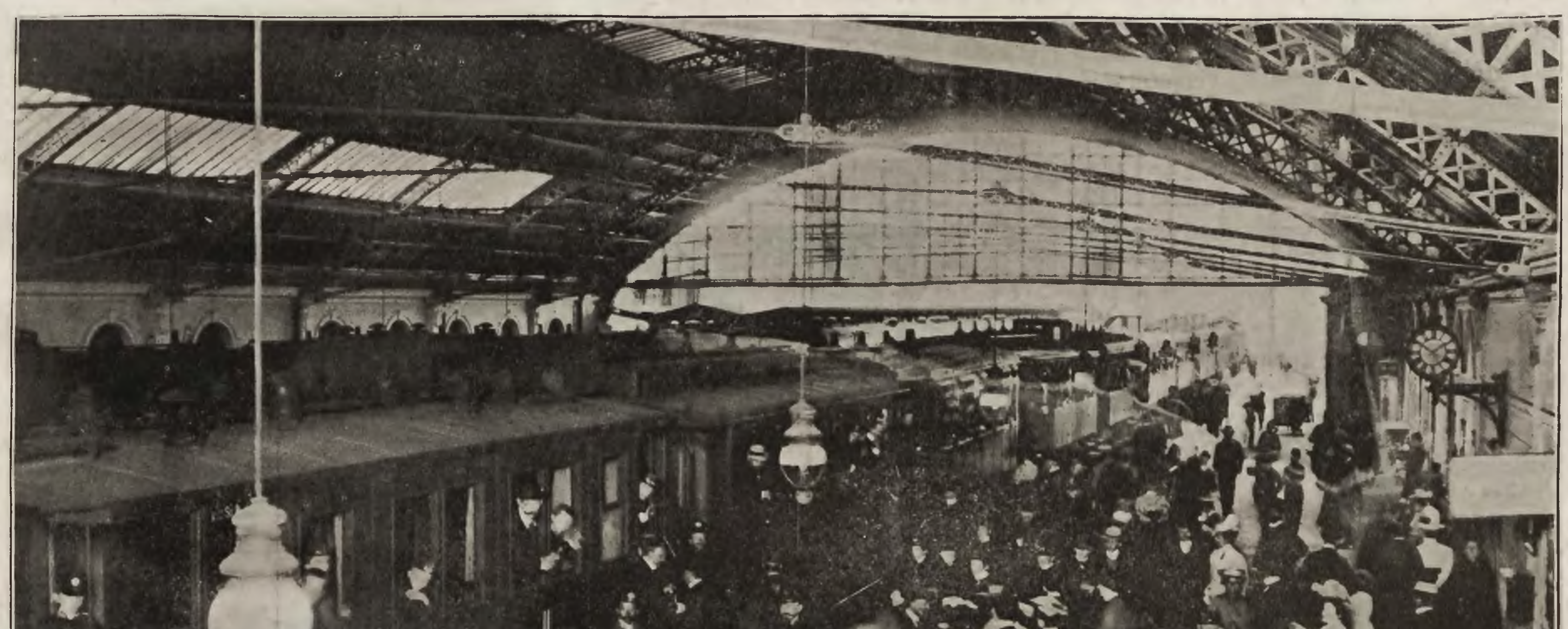
Młodzież lwowska w Krakowie: Studenci lwowscy przybyli dla zwiedzenia Krakowa, zebrani przy obiedzie w restauracyi Drobnera na plantach.

Dziatwa polska z Piotrkowa na Jasnej Górze.

Założone w roku bieżącym wśród krytycznych warunków pierwsze szkoły polskie o wykładowym języku ojczystym w Piotrkowie dały całej młodzieży szkolnej w Królestwie piękny przykład. Oto w roku, w którym pozwolono im modlić się i uczyć się po polsku, postanowiły zamiast majówki odbyć pielgrzymkę na Jasną Górę.

Dnia 19 maja przybył do Częstochowy o godzinie 8 rano osobny pociąg. Za chwilę na peronie dworca zaroiło się od dzieci, tłumiony gwar rozległ się wokoło. Byli to uczniowie i uczenice ze szkół pp. Jakobsona, Domańskiej, Jaroszyńskiej i Dąbrowskiej z Piotrkowa, w pokaźnej liczbie, bo przeszło 1000 osób, pod przewodnictwem katechetów księży Szabelskiego i Pęcherskiego, oraz nauczycieli i nauczycielek w liczbie 60. Pociąg stanął, rozległ się śpiew marsza Sokolego, a kiedy przebrzmiały ostatnie jego dźwięki, przyjął młodych pielgrzymów oczekujący na dworcu katecheta częstochowski ks. Helbich z garstką uczniów, poczem udano się na Jasną Górę. Przed kościołem wypowiedział do młodych pielgrzymów wspaniałą mowę ojciec Przeździecki, stawiając pielgrzymów za wzór dla całej młodzieży Królestwa. Przebieg pielgrzymki nosił na sobie jakieś dziwnie rzewne, dziwnie uroczyste piętno, wywarł też z pewnością na młodocianych serduszkach niezatarte aż do grobu wrażenie. Illustracya nasza przedstawia pielgrzymkę, zbliżającą się już ku kościołowi na Jasnej Górze.

Przy sposobności należy oddać dyrektorowi Jakobsonowi najszczersze uznanie za zorganizowanie i zajęcie się pielgrzymką, całą. Jego sta-



Aparatem redakcyjnym fot. dla „Nowości Illustr.“ W. Lis.

Młodzież lwowska w Krakowie: Na peronie dworca krakowskiego, na kilka minut przed odejściem pociągu, uwożącego gości z powrotem do Lwowa.

raniom zawdzięczyć bowiem należy, że dyrekcya kolei warszawsko-wiedeńskiej udzieliła pielgrzymce osobnego pociągu i to zupełnie bezpłatnie, o co chyba u nas, w Galicyi, byłoby bardzo trudno...

Erno.



Dziatwa polska na Jasnej Górze: Uczniowie pierwszych szkół z językiem wykładowym polskim w Piotrkowie, przybyli do Częstochowy w pielgrzymce na Jasną Górę, zamiast odbycia corocznej majówki.

Plotki lwowskie.

(Dobrodziej złodziei. — Czyszczenie brudów. — Historya pewnego nauczyciela i bogini prezydenta. — Bourlardówka. — Zakład pogrzebowy. — Rada a magistrat czyli stary mąż a młoda żona).

Lwów jest wylęgarnią słowików, złodziejów, plotek, posłów, defraudantów, pluskiew, pensyonarek, pierścienic wodociągowych, banków, geniuszów muzycznych — tylko nie autorów dramatycznych. Pp. Irzykowski i dr Feigenbaum, którzy dotąd na polu dramaturgii żadnych grzechów jawnych nie mieli, bo żadnego dramatu nie napisali a przynajmniej nie wystawili, w ubiegłym tygodniu próbowali się wsławić a zarazem wzbogacić naszą biedną literaturę dramatyczną. Niestety dramat ich pt.: „Dobrodziej złodziei“ wystawiono i wygwizdano tak sromotnie, jak tego niepamiętają najstarsi bileterzy teatralni. Publiczność tak uciekała po każdym akcie, że — zdawało się — żadna moc ludzka nie byłaby mogła wstrzymać tej emigracyi. Żadna panika nie mogła wywołać takiego popłochu wśród publiczności, ani pożar, ani trzęsienie ziemi, ani strzelanie grających aktorów ze sceny do audytoryum ostrymi nabojami. Takiego efektu ludzie nie pamiętają. Autorów obecnych (co za lekkomyślność!) na przedstawieniu chciano zlynchować, ale na szczęście uciekli dość wcześnie. Więc tylko się śmiano, śmiano się szeroko, szczerze, do łez... I publiczność i recenzenci, i oficerowie i panie, i bileterzy i aktorzy i portyer i dorożkarze czekający przed teatrem i konie tramwajowe, i policya, wszystko się śmiało. A to nie śmiech, taki śmiech... Miał ten dramat swoją historyę. Historya sama była już dość ciekawą. Czytelnicy „Nowości“ czytali już coś o tem w „plotkach lwowskich“. Pierwotnie przedłożyli autorowie rękopis dyrekcyi tak dużych rozmiarów, że wystawienie dramatu zajmowałoby tydzień czasu. Przez szereg miesięcy kreślono pojedyncze ustępy i sceny a dramat — o dziwo — stawał się coraz większym. Więc kreślono dalej. Wreszcie została z pierwotnego dramatu zaledwie jakaś dziesiąta część, która się dostała na scenę. Dlaczego p. Pawlikowski wystawił ten dramat, to już zostanie tajemnicą jego geniuszu, w każdym razie będzie to jeden z ostatnich genialnych czynów w historyi jego działalności na lwowskiej scenie. Heller wścieka się z radości i z góry zapowiada (bardzo słusznie!) by mu się żaden lwowski autor dramatyczny nie ważył pokazać na oczy.

Tak, jak Heller cieszy się z każdego bąka Pawlikowskiego, tak prezydent Michalski zaciera ręce, ile razy Rada miejska pierze dawne brudy ekssprezydenta Małachowskiego. A teraz odbywa się właśnie taka akcya desinfekcyjna na wielką skalę. Między innemi poruszono w tym tygodniu sensacyjną sprawę nauczyciela Haraszkiewicza. Ten Haraszkiewicz miał szczęście u kobiet wogóle a u jednej w szczególności. Pech chciał, że ta jedna właśnie w całej rozciągłości należała do ówczesnego prezydenta dra Małachowskiego. Wiedział o tem p. Haraszkiewicz, ale prezydent Małachowski nie wiedział, czy jego podwładny zajmuje miejsce kapłana przy ołtarzu bogini prezydenckiego serca. I było wszystko dobrze i trwało to dość długo. Prezydent modlił się w innych godzinach a jego podwładny w innych. Modlitwa była ta sama, choć może u podwładnego nauczyciela żarliwsza. Bogini kierowała sama modlitwą, więc długo obchodziło się bez karambola dwóch pobożnych. Aż raz — ach ten raz — ktoś doniósł p. prezydentowi, że jego podwładny urzędnik, nauczyciel H. jest tak śmiałym, że nawet itd. aż do skutku. A może nikt nie doniósł, tylko samo przeczucie zakochanego serca powiodło prezydenta w tę stronę. A może tylko głupi przypadek, czy mądry przypadek... Dość, że stanął raz na progu świątyni i zastał młodego kapłana przy ołtarzu kapliczki wyłącznie zastrzeżonej dla prezydenckiego użytku.

Ale prezydenci nie są Otellami, nie strzelają z rewolwerów, nie kłują scyzorykami, nie oblewają witryolem i nie podpalają. Prezydent zrobił sobie węzełek na chustce do nosa, poszedł do swego biura, napisał list degradujący boginię do rzędu zwykłej śmiertelniczki i referat urzędowy — wstrzymujący pobory służbowe nauczycielowi Haraszkiewiczowi za... no za to. Mniejsza o to, jak tam skwalifikował pan prezydent czyn karygodny p. Haraszkiewicza, ale zbrodniarza spotkała należyta kara za działanie na szkodę przełożonego.

Dzisiejsza Rada miejska jest bardziej postępową i przy rewizyi tej ślizkiej sprawy uznała, że należy p. Haraszkiewiczowi przywrócić dawne pobory, bo działał w dobrej wierze.

Jeszcze większą zasługę położyła Rada miejska uchwałą zdemolowania Bourlardówki. Ta Bourlardówka to gmach tak stary, jak Lwów. Mieści się ona przy ul. Batorego tuż naprzeciw prokuratoryi państwa, której zaglądа do okien. Kilka razy chciała się Bourlardówka przewrócić, ale jakoś dotychczas trzyma się. Właściwie trzymają ją patyki, którymi ją podparto. Ludzie ciągle nawołują, aby magistrat usunął stamtąd szkołę żeńską, a gmach rozebrał, ale magistrat czeka na wakacye. Wiatrów wielkich niema, dziewczęta uczęszczające do tej szkoły nie są ciężkie, więc do wakacyj nie zapadnie się. Aż gdy rodzice przestali wysyłać swe dzieci do szkoły, a popękane mury coraz więcej trzeszczały, Rada miasta uchwaliła usunąć stamtąd panienki a gmach zburzyć. Kto więc chciałby jeszcze oglądać najhistoryczniejszą pamiątkę Lwowa, niech się śpieszy, bo skoro już Rada raz uchwaliła gmach zwalić, to magistrat najdalej za rok gotów wykonać tę uchwałę.

Tak samo było przecież z miejskim zakładem pogrzebowym. Dopiero przed rokiem uchwalono go założyć a już w tym tygodniu zabrano się do wykonania. To jest niby jeszcze zakładu pogrzebowego miejskiego niema i jeszcze tak prędko nie będzie, ale już uchwalono ponownie i kto wie, czy



Posłowie do Rady państwa z Królestwa Polskiego: W gmachu Tow. Kred. Ziem. w Warszawie 17 bm. wyborca Piotr Górski oświadczywszy, że zgodnie z intencyami Dumy należałoby zaniechać wyborów do Rady państwa, opuszcza zebranie.



Posłowie do Rady państwa z Królestwa Polskiego: Sześciu wybranych z całego Królestwa członków Rady państwa wraz z 59 ich wyborcami w sali Tow. Kred. Ziem. w Warszawie. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ J. Mieczkowski zaraz po akcie wyborczym).

już coś z tego nie będzie, jeśli nic takiego nie zajdzie, jeśli się ratusz z rajcami nie wywróci, jeśli p. Kurkowski się temu nie sprzeciwi, jeśli okaże się, że warto tę uchwałę wogóle wykonać.

Bo np. dawno uchwalono założyć jatki miejskie, ale tych jatek nikt u nas dotąd nie widział i nigdy nie zobaczy. Tak się u nas praktykuje. Dziś uchwala Rada miejska: coś zrobić. Magistrat tego nie wykonuje. Wobec tego uchwala Rada po jakimś czasie: już zaniechać tej roboty. Tę drugą uchwałę magistrat już wykonuje. Tak samo było z jatkami. Nasz magistrat żyje z Radą miejską na wiarę, albo w najlepszym razie, jak młoda uparta żona ze starym mężem. Wysłuchuje, co gdera, ale śmieje się z tego w kułak i robi swoje. A staruszek mąż chce się tylko wygadać. Mniejsza o to, czy go słuchają, czy nie, on chce gadać, gadać, gadać... *Kl.*

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.
Napisał Bronisław Mazowiecki.

7 (Ciąg dalszy).

Mijały tak kwadranse, a ksiądz Jan płakał ciągle, oczy jednak miał suche, bez łez...

Kiedy chory ocknął się wreszcie, spojrzał na siedzącą w przygnębieniu siostrę Felicyę wzrokiem spokojnym, prawie zwyczajnym, jak gdyby nic nie zaszło, poczem uśmiechając się dobrodusznie, odezwał się cichym głosem:

— Czemuż ty się mną martwisz... Wyglądasz, jak gdybyś się litowała nademną... A przecież ja jestem szczęśliwy, szczęśliwszy od tylu, tylu ludzi na świecie... Jam Duchem Świętym naznaczony... wybrany... Łaską z nieba obdarzony...

Przerwała mu ona, pytając tonem surowym:

— Proszę cię, powiedz mi, dlaczego ty dniami i nocami wrzaski wyprawiasz?... Co cię boli, że ty musisz aż krzyczeć do tego stopnia, by sąsiedzi nie mieli spokoju dniem i nocą. Co ja biedna z tobą pocznę, gdzie ja cię umieszczę... Trzeba będzie poradzić się lekarza, tak dalej być nie może.

— Mnie nic nie boli... Zdrów jestem. Lekarze tego nie zrozumieją, co to jest Łaska, jaka na mnie przychodzi... Ja właśnie mógłbym być dla nich lekarzem, ja — prorok Jan, którego Bóg posłał, ażebym wyczyścił stajnię, jaką księża zrobili z kościoła...

— Milcz!

— Ty mnie ust nie zamkniesz. W umartwieniu ciągłem trwam niedaremnie... Życiem świętego Franciszka zasłużyłem sobie na owe objawienia, których zaznaję dla dobra miliona owieczek, co za mną pójdą, za prorokiem Janem... Objawienia...

— Milcz, słyszysz — krzyknęła, zrywając się z krzesła siostra Felicya — kłamiesz, nie masz objawień... Ja tylko mogę je mieć, ja tylko, powtarzam ci... zrozumiałeś?

Ksiądz Jan nagle zatoczył się w koło, błędnie wodząc zamglonym wzrokiem, poczem, dreszczami wstrząsany, zaczął — jak epileptyk — wdrapywać się na ścianę, o mur krwawiąc sobie palce i zębami zgrzytając głośno.

Felicya ruszyła ramionami i ochłonąwszy nieco ze wzburzenia, usiadła ciężko.

Wtem chory odskoczył od ściany, aż nogą przewrócił przypadkiem garnuszek z mlekiem stojący na podłodze, zatoczył się w drugi kąt i wpatrzył się szeroko rozwartemi oczyma w bladą twarz kobiety. Postąpił krok ku niej i głosem zupełnie do swego niepodobnym ryknął:

— Dziecko oddaj!... słyszysz.. gdzieś podziała dziecko?!

Siostra Felicya przerażona zerwała się z krzesła i potrącając po drodze różne przedmioty, rzuciła się ku drzwiom. Ale zanim uciec z pokoju zdołała, już chory zastąpił jej drogę, tuż przed drzwiami za ramiona schwycił ją oburącz i wytrząsać zaczął groźnie. Była krótka chwila milczenia, w ciągu której słychać było tylko, jak szamocąc się wzajemnie, dyszeli ciężko oboje.

Snać dużo siły znalazło się jeszcze w młodem ciele wycieńczonego złem odżywianiem się mężczyzny, skoro kobieta zauważyła, iż rady mu nie da i znienacka wykręciwszy głowę, mocno ugryzła go w palec, aż jęknął z bólu i z rąk ją wypuścił, ale sam zwalił się na drzwi tak, że tędy uciec mu nie mogła, więc się znowu ku oknu cofnęła, drżąc ze strachu.

Po chwili i on przywlókł się za nią na drugą stronę pokoju i usiadł naprzeciwko. Zgrzytał zębami, sapiąc, ale z twarzy i z oczu uleciał wyraz obłędu. Wydawał się przytomnym zupełnie, spokojnym i zdrowym.

Po kilku minutach milczenia podniósł na nią siwe oczy, mówiąc zwolna:

— Nie zwiedziesz ty mnie swojemi objawieniami. Radzę ci o nich zamilczeć, bo sam pójdę w świat wołać głośno, że kłamiesz i ludzi bałamucisz, ty marna awanturnico... Łatwo ci głupców łowić, ale ty się nie waż maski wdziewać wobec mnie... Proroka Jana Bóg posłał nie na to między ludzi, żebyś ty miała mu związać ręce... Ja mam rozkaz z nieba porządek zaprowadzić w Kościele Bożym, ty mnie w tem nie przeszkodzisz, nie dam się tobie w tem ubiedz i spełnię misyę aż do końca... Słyszałaś?

— Ty albo ja! Nas dwoje za wiele... Ja ciebie muszę zgnieść, nie dam ci bruździć sobie, a my sobie wzajem zawadzamy... Sam wiesz, że ja mam cię w swoich rękach dzisiaj... Ale ustąp mi dobrowolnie, nie przeszkadzaj mi w robocie...

— Prorokowi każesz ustąpić...

— Powtarzam ci, że nas dwoje za wiele.

— Więc ty ustąpić musisz ojcu Antychrysta.

— Dość ja mam mocy jako oblubienica Boża, żeby cud spełnić, gdy mi będzie potrzeba, na dowód, żeś ty nie prorok a proch marny, że zgniejesz z bezsilności wobec mnie, że przepadniesz ni to kamień w wodę... A tymczasem przedemną na kolana tłum padać będzie... modlić się będzie lud do mnie... Setki mil pójdą za mną krocie duszowieczek... Tyle mocy mam, żem trzodę gotowa papieżowi porywać — sama antypapieżyca... Mam władzę, bo cuda czynić mogę, żeby zmiażdżyć tych, co mi na przeszkodzie stają do spełnienia wielkich dzieł...

— Cuda twoje — wrzasnął teraz nagle ksiądz Jan i porwawszy ze stołu pierwszy z brzegu talerz pełen jedzenia, cisnął nim z wszystkich sił w zamknięte okno, aż szyba pękła, rozpryskując się z przeraźliwym brzękiem, a talerz jak z procy wypadł na środek ulicy. Jego śladem ciskał waryat dalej w ten sposób talerz po talerzu z resztkami jedzenia, wołając do zatrwożonej siostry Felicyi: — Zrób mi w oczach moich całe napowrót naczynia z onych tam czerepów... szyby mi wpraw bez szklarza, tak z miejsca, jakem je roztłukł... no, spełnij cud, czarownico; wtedy ci dopiero prorok Jan ustąpi, plackiem padnie przed antypapieżycą!...

I jeszcze raz porwał z wściekłością talerz jakiś w jedną rękę, a garnuszek z kąta w drugą i jednocześnie cisnął przez okno rozbite z hałasem na ulicę, gdzie się już gawiedź zbiegła z wrzawą, gdy z drugiej strony szturmowali domownicy do zamkniętego mieszkania.

Jednym skokiem znalazła się wtedy poza nim siostra Felicya i chwyciwszy sporą konewkę z wodą, lunęła mu nią znienacka w twarz...

Waryat machnął kilkakrotnie rękoma w powietrzu, ryknął nieludzkim głosem i jak kłoda runął na podłogę, zwalając za sobą z hałasem różne sprzęty i drobiazgi...

Przez ten czas zdążyła siostra Felicya drzwi sobie otworzyć i wybiegła na miasto.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Tajemniczy wypadek: Zwłoki nieznajomego człowieka, znalezione na torze kolejowym koło Sądowej Wiszni.

Tajemniczy wypadek.

Przed kilku dniami znaleźli budnicy kolejowi koło stacyi Sądowej-Wiszni, po odejściu pociągu w kierunku Krakowa, zwłoki młodego mężczyzny. Zwłoki te leżały na torze obok szyn, a z licznych ran na głowie i rękach można było poznać, że denat padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku kolejowego. Przyczyną śmierci było pęknięcie czaszki, jak stwierdziła komisya sądowo-lekarska. Na podstawie obdukcyi zwłok, przekonano się, iż ów zmarły cierpiał na gruźlicę płuc. Identyczności osoby nie skonstatowano dotąd. Przy zwłokach znaleziono tylko jedną monetę 2-groszową, a w krawatce szpilkę z portretem Marksa i Lassalle'a.

W numerze dzisiejszym podajemy fotografię zwłok owego nieznajomego człowieka.

Złodziej kolejowy.

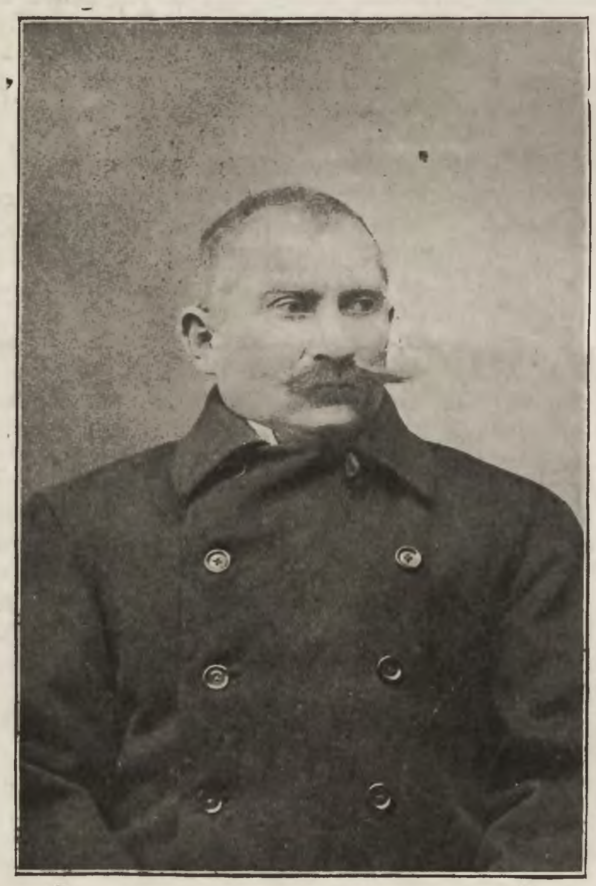
Od lat czterech powtarzały się systematycznie w kasach kolejowych na stacyach w Zaleszczykach i Tłustem znaczne kradzieże. Kasyerzy, nie mogąc wpaść na ślad złodzieja, a bojąc się utraty posady, z własnej kieszeni pokrywali braki i przez to sprawa kradzieży nie nabierała rozgłosu. Dopiero w czerwcu ubiegłego roku wyszły kradzieże na jaw. Skradziono wówczas w kasie w Zaleszczykach 280 koron, a ponieważ kasyer nie był już w stanie pokryć deficytu z własnej kieszeni, sprawa stała się głośną. Zarządzono śledztwo, było kilka rewizyj domowych, ale wszystko bez skutku. Dyrekcya kolejowa nie wdrożyła dochodzenia, zmieniła tylko kasę i to nawet na gorszą. O tyle jednak zmiana kasy wyszła na dobre, że od tego czasu kradzieże w Zaleszczykach ustały, zaczęły się natomiast powtarzać częściej w Tłustem.

Przy końcu kwietnia br. znikło naczelnikowi stacyi w Tłustem z zamkniętej kasy 390 koron. To podwoiło czujność kolejarzy; od tego czasu w szafach lokalu, w którym się znajdowała kasa, ukrywało się stale dwóch funkcyonaryuszów, którzy postanowili ostatecznie przyłapać złodzieja, choćby to ich nie wiedzieć ile miało kosztować.

Przez cały miesiąc czyhano nadaremnie na sposobność, złodziej widocznie przeczuł pismo nosem i nie pokazywał się. Dopiero dnia 2 maja udało się go przychwycić na gorącym uczynku. W czasie odejścia pociągu, kiedy więc wszyscy urzędnicy zajęci byli na peronie, wszedł do biura kasy wyrobnik stacyjny, niejaki Mikołaj Pindus, a przekonawszy się, że w pokoju niema nikogo, podszedł do kasy, otworzył ją własnym kluczem i nabrawszy pieniędzy do kieszeni, zamierzał jak najspokojniej odejść. W tej chwili wypadli z szaf ukryci tam funkcyonaryusze i przytrzymali ptaszka. Zawiadomiono żandarmeryę, która odstawiła nie mogącego się już uniewinniać, Pindusa do sądu w Tłustem.

Mikołaj Pindus, którego fotografię zamieszczamy obok, tak zwany „Pumpenwärter“ kolejowy, zamieszkały w Zaleszczykach, pełnił od lat 5 służbę na linii Zaleszczyki-Tłuste. Zadaniem jego było napompowanie wody w Zaleszczykach i w Tłustem dla maszyn przejeżdżających pociągów. Pensya jego wynosiła zaledwie 36 koron miesięcznie, z czego miał utrzymać żonę i dziewięcioro dzieci, mimo to jednak prowadził życie wygodne, całemi nocami grywał w karty i, co dziwniejsza, pożyczał wieśniakom pieniądze na procent.

Ciekawa rzecz tylko, jak postąpi Dyrekcya kolejowa w Stanisławowie z poszkodowanymi, którzy ponieśli karę za Pindusa.



Złodziej kolejowy: Mikołaj Pindus.

Rozwiązanie zagadek z Nru 19.

Szarada.

Zacisze.

Zagadka.

Dukat, zagadka, cmentarz, Kartagina, Sebastyan, tortura, kurek, wrona, sufit, Aleksandrya, sokół, Don, topaz, gramatyka, lalka, kamieniołom, anioł, gimnazyum, banar, maj, Kowno, melancholia, groch, pauza, sarna, giermek, solniczka, prelekcya, smaragd, Matejko, sosna.

Katastrofa kopalniana w Courrieres.

Logogryf.

Janek. Edzio, rogowiec, Zurych, Yezo-Potop, Horodło, Allach, Cittlaltepetl, karp, Euterpe, Naprzód, Scribe, cerber, Hedżas, Moore, Ilmen, Drake, tynf-Ob, Comte, Yorkschir, Goll, Augustyanie, na owal, indyk-kakadu, Epikur, Wołodyjowski, indygowiec, Czatyrdach, zbój Pandora, obsydyan, napiąstek, Santjago.

Jerzy Hackenschmidt — Cyganiewicz — Pons — Koch Pobl — Pedersen — Eberle — Lurich — Janko.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: B. Ramułtowa Jeżów, J. Robak Kraków, K. Fuchs Peczeniżyn, T. Domain Sanok, St. Szwabowicz Żurawno, S. Suchomel Tartarów, K. Jasiński Kraków, K. Bobek Kraków, Z. Szymczakowska Piaski, Fr. Niepokój Krosno, A. Surowiecki Kraków, Tow. Zgoda Krosno, H. Źralski Podgórze, Al. Bocsoń Bóbrka, H. Ulrych Malin, J. Biegoń Sucha, M. Rożański Gorlice, H. Mokrzycka Turbia, K. Chodkiewicz Zbydniów, J. T. Flura Uhnów, A. St. Bassara Niwiska, J. Sułkowski Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, I. Pompianka Kraków, Fr. Kośmider Nowy Sącz, B. Warowitz Nowy Sącz, M. Świtlikowa Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **Zofia Szymczakowska w Piaskach**, p. Grzegórzki. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

I.

Wspak *pierwsza, druga, czwarta* — trzy litery małe,
Czwarta i trzecia karty — w grze są doskonałe.
Całość — w swem ręku dzisiaj berło mody dzierży,
Więc do odgadnięcia niechaj każdy bieży.

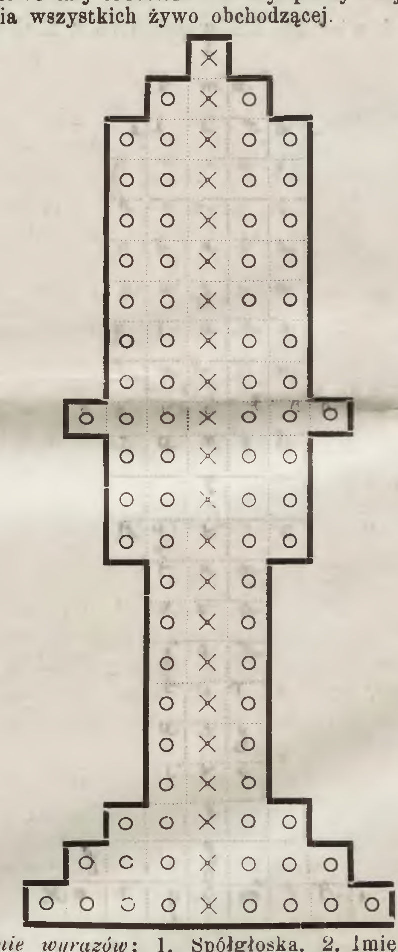
II.

Gdy *pierwsza i druga* zaufanie budzi,
Z pewnością uzyska poparcie u ludzi.
Z *trzeciej*, gdy literkę czwartą strącisz zgrabnie,
To z tej kombinacyi rzeka Ci wypadnie,
Co dumnie w alpejskiej krainie uroczej
Spienione nurty swe toczy.
Całość — swym układem dokładnie wskazuje,
Jak Wszechmocnym jest ten, co światem kieruje.

Zagadka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe dały określenie kwestyi politycznej w Austryi, do dziś dnia wszystkich żywo obchodzącej.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię żeńskie. 3. Imię żeńskie. 4. Jeden z wydziałów na każdym uniwersytecie. 5. Głośny dramat Sudermana; znaczy również cześć osobistą. 6. Inaczej trwoga. 7. Wyspa na morzu Bałtyckiem. 8. To, co powstaje na rzece, gdy fale jedna na drugą uderzają; widzi się to i w balii przy praniu. 9. Duchowny żydowski. 10. Inaczej mała chwila. 11. Inaczej początek dnia. 12. Miasto i twierdza we Francyi 13. Miasto w Galicyi. 14. Inaczej świątynia 15. Imię pierwszej kobiety. 16. Imię jednego z ewangelistów. 17. Zwierz, pojawiający się jeszcze w puszczy białowieskiej. 18. Najważniejsze karty przy grze np. w preferansa. 19. Słynny markiz, dyplomata japoński. 20. Jeden z najpiękniejszych instrumentów muzycznych. 21. Miasteczko w Galicyi. 22. Poeta polski, autor pieśni: „Kiedy ranne wstają zorze“...

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Podane poniżej wyrazy tak ustawić, by ich *trzecie* litery dały nazwiska trzech powieściopisarzy polskich.

Wyrazy są następujące: amor, Ateny, Dawid, Demostenes, Dniepr, Drohobycz, etażerka, Ifigenia, Karyntya, kasztelan, Lewita, Likurg, Łaba, Łowicz, mnich, Nestor, oranżerya, pelikan, Rawita, Ryksa, Russeau, Skawa, taksa, Tarnów, Zygmunt.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya jako nagrodę **funt karmelków** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.